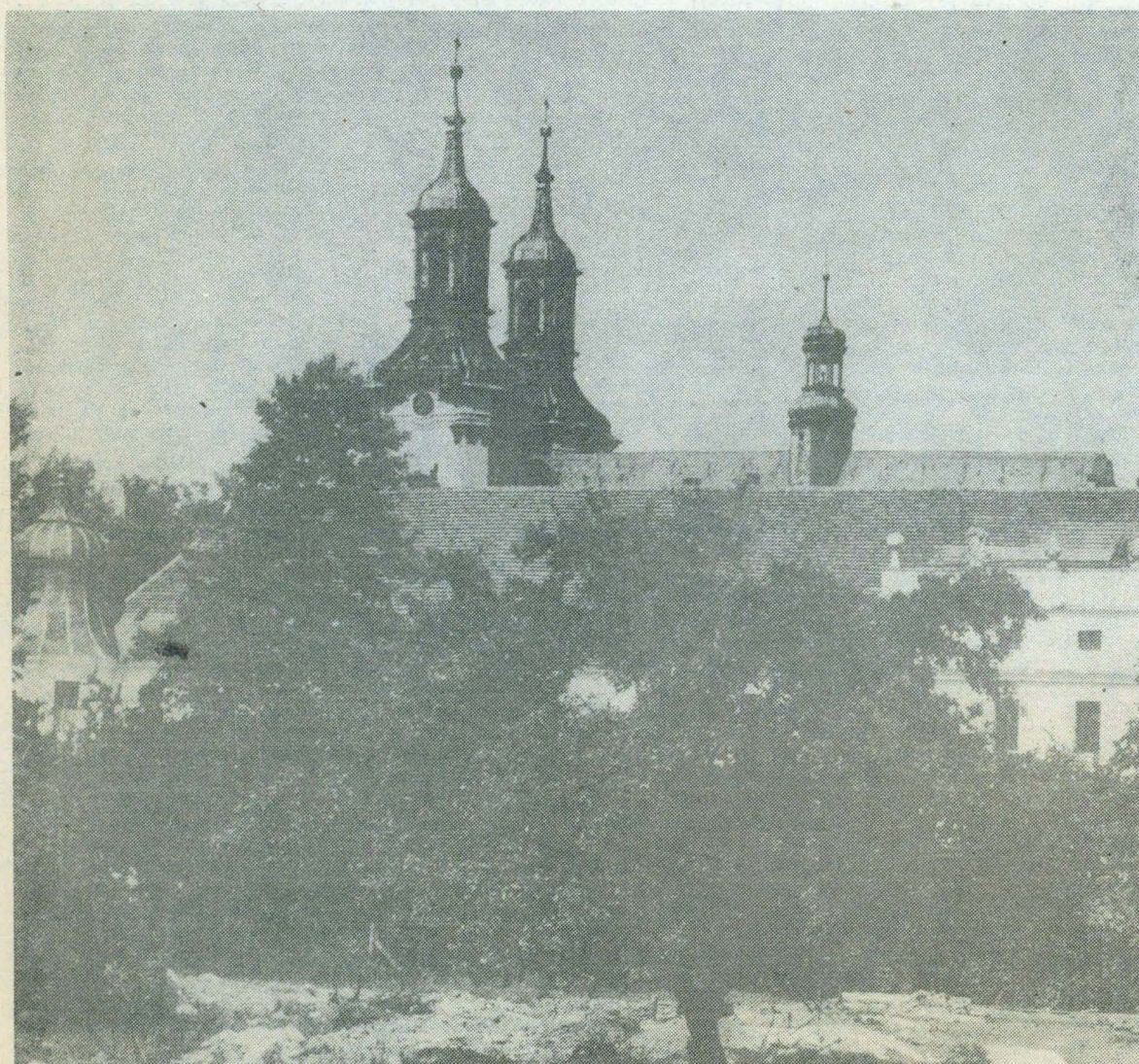


Jak zawsze zdecydują ludzie

Konkretnych rozwiązań dla tego samorządu jeszcze nie ma. Jest wiele propozycji i nie wiemy, które ostatecznie zostaną przyjęte. Jest powszechna zgoda, że stan obecny nikogo nie zadowala i że należy go zmienić. Najtrudniejsze są sprawy gospodarcze...

Str. 3

„NIE PRZYSZEDŁEM ŻEBY MI SŁUŻONO...”



Gościkowo - Paradyż: kompleks budynków klasztornych, niegdyś siedziba opactwa i ostoja polskości, dziś bezcenny zabytek architektoniczny i sakralny, przyciąga turystów z całej Europy. Od 37 lat mieści się tu Gorzowskie Wyższe Seminarium Duchowne...

Z rektorem ks. Prałatem Henrykiem Dworakiem rozmawia Halina Ańska

Str. 8-9

Pełne umysły i bogate serca

Związki twórcze, stowarzyszenia kultury nie otrzymają w tym roku zbiórek na swoją działalność statutową. W tej ponoc czy stej wodzie ekonomii kultura ma sobie radzić sama. Jak towar została rzucona na wolny rynek.

Str. 5

Dlaczego mężczyźni nie potrafią być wierni?

Jak można być wiernym, gdy nagle spotyka się atrakcyjną kobietę, miłą, uśmiechniętą i najwyraźniej chętną.

Str. 13

Trójkąt towarzyski

Panna Basia pluskała się w łazience, a Marek mile gawędził z Haliną. Po jakimś czasie gospodyni zjawiała się w pokoju cała pachnąca płynem do kąpieli, a do łazienki poszła Halina. I wówczas spotkała Marka niespodzianka. Barbara poprosiła gościa do swojej sypialni...

Str. 14

— Jest pan jednym z najmłodszych radnych MRN w Zielonej Górze, a równocześnie już do brzo znanym ze względu na pana aktywność na sesjach, ruchliwość społeczną. Jak pan ocenia swoją dotychczasową obecność w tej Radzie, czy ma pan jakieś satysfakcje z tym związane?

— Chcę wyjaśnić, że mam w Radzie młodszą ode mnie koleżanki i kolegów, na pewno nie jest też ona zgromadzeniem starców. Moja postawa, co zresztą jest zrozumiałe, wynika z tego, że jest w mieście zbyt wiele rzeczy, obok których trudno przejść obojętnie.

— Które z obszarów życia w mieście wydają się panu najbardziej zagrożone?

— Sądzę, że te na styku urząd — obywatel. Niedawno uczestniczyłem w kontroli pracy Wy-

stracę, komplikowanie jej pracy, a nie chęć usprawnienia.

— To wiąże się z prestiżem, jaki MRN poprzez swoich radnych zdoła sobie wypracować.

— Mimo wszystko jest spora grupa radnych, która na ten prestiż pracuje. Zapewne nie wszyscy i na pewno nie ci, którzy np. kiedyś doprowadzili do kryzysu sesji budżetowej MRN, z powodu braku quorum. Ale tak się dzieje w każdym zespole, w którym są ludzie mniej lub bardziej aktywni. Ostatnio na wot w Sejmie narzekano na tego rodzaju kłopoty, co oczywiście niczego nie usprawiedliwia.

— Wręcz odwrotnie, zasługuje na bardzo krytyczną ocenę. Trudno się dziwić, że na sesji zjawiała się grupa działaczy Komitetu Obywa-

radnego Leszka Szydłowskiego, członka Stronnictwa Demokratycznego. Bo chociaż wybrani zostaliśmy w oparciu o niedoskonałą, mało demokratyczną ordynację wyborczą, to legalność naszego wyboru kwestionować nie można.

— Jak często bywa pan na spotkaniach z wyborcami?

— Przyznam się, że częściej są to spotkania indywidualne lub też na zebraniach Komitetu Osiedlowego na osiedlu Wazów w Zielonej Górze, gdzie zostałem wybrany radnym. Jest to jedno ze starszych osiedli w mieście i problemów tam nie brakuje. Od lat nie załatwionym i wałkowanym tam problemem jest centralne ogrzewanie dla tego osiedla. Być może kiedyś łatwiej to było załatwić. Teraz są inne priorytety. Ale sprawa dla mieszkańców jest ważna i nie można jej zdjąć z wokandy.

— Wiele wskazuje na to, że w przyszłym roku będziemy mieć ustawę o samorządach lokalnych, odbędą się wybory do nich. Wszystko co uda się zrobić teraz w dziedzinie uspołecznienia tak najbardziej społecznego organizmu, jakim jest rada narodowa, będzie dobrym przygotowaniem gruntu pod sprawne działanie tego samorządu. Jak pan to widzi?

— Konkretnych rozwiązań dla tego samorządu jeszcze nie ma. Jest wiele propozycji i nie wiemy, które ostatecznie zostaną przyjęte. Jest powszechna zgoda, że stan obecny nikogo nie zadowala i że należy go zmienić. Najtrudniejsze są sprawy gospodarcze, bo przecież możliwości decydowania samorządu określone będą m.in. względami finansowymi. A finanse zależą od tego, czym dysponować będzie samorząd, tj. od rozmiarów własności komunalnej, właściwie prowadzonej polityki podatkowej, z czym jak wiemy obecnie też nie jest najlepiej. Od stworzenia sprawnego systemu podatkowego wiele zależy. Nie będzie to łatwa operacja. Decydujące znaczenie mieć będą jednak ludzie, którzy w skład tych samorządów wejdą. I o tym trzeba myśleć już teraz, w duchu porozumienia i współpracy, dla dobra nie tylko Zielonej Góry.

Dziękuję za rozmowę.

Jak zawsze zadecydują ludzie

z Adamem Ruszczyńskim, radnym MRN w Zielonej Górze rozmawia Wiesław Nodzyński

działu Urbanistyki i Architektury UM przeprowadzonej przez NIK. Wokół tego Wydziału zgromadziło się ostatnio wiele krytycznych opinii. Uważam, że wzajemne relacje między nie tylko tym Wydziałem a Radą, nie zawsze są prawidłowe, ograniczają jej nadrzędną, stanowiącą rolę. Jest to kwestia rozwiązań systemowych, zgodnych z aktualnymi oczekiwaniami społecznymi.

— Sporo jest w tym zaszłości. Jeszcze nie tak dawno mówiło się przecież, że trzeba „wywołać” jakąś uchwałę Rady, którą wcześniej, w szczegółach, przygotowywano w urzędzie lub komitecie. To z takich praktyk zrodziło się powiedzenie: radny — bezradny.

— Taka sytuacja wynikała z chęci łatwego przystosowania się. Ale nie wszyscy jej ulegali. Znam takich radnych, którzy zawsze mieli swoje zdanie, choć przecież jak wiemy, decyzje często zapadały gdzie indziej. Wynikało to z obowiązujących układów władzy. Wynikało to z tym dlatego, żeby odcinać „grubą kreską” to co było, ponieważ w tym nie uczestniczyłem. Chcę podkreślić, że nie łatwo jest z tego wyjść, choć świadomość potrzeby zmian jest coraz powszechniejsza. I ten proces uczenia się i rozwoju demokracji będzie się nadal toczył.

— Wymaga to spełnienia określonych warunków, m.in. możliwie pełnego dostępu do informacji, kompetencji po obu stronach.

— To ma charakter decydujący, szczególnie istotny w pracach komisji, które owe decyzje przygotowują, ale także w pracach całej Rady. A z tym bywa różnie. Za mało mamy w Radzie prawników i ekonomistów, a z kompetencjami urzędników też nadal bywa różnie.

— W rezultacie od czasu do czasu społeczeństwo dowiaduje się o decyzjach, nie tak znowu bagatelnych, podejmowanych bez wiedzy, czy też poza MRN.

— Zdarza się to jeszcze zbyt często. Tak było np. w przypadku sprzedaży wiat magazynowych bez ogłoszenia o przetargu przez PGKiM. A wiaty owe zbudowane zostały z budżetu MRN, która jest organem założycielskim przedsiębiorstwa. Podobnie działo się z decyzjami o budowie niektórych garaży. A że były to decyzje podejmowane pochopnie i nieprawidłowo, wiele było kontrowersji. A wszędzie takie błędnie podejmowane decyzje nie budują prestiżu Urzędowi Miejskiemu i Miejskiej Radzie Narodowej, która z mocy ustawy winna nadzorować działalność administracji. My zbyt mało wiemy, jak ona funkcjonuje, dać ją nadmiernym zaufaniem, co niekiedy okazuje się błędne. To rodzi określone konflikty, często odbierane jako atak na admini-

stracę, która domagała się zasadniczych zmian w pracy Rady.

— Bez wątplenia, oni mieli rację. Szkoda tylko, że nie dotrwali do końca owej sesji, bo byłaby okazja do wyjaśnienia wielu kwestii. W tym konkretnym przypadku jednak, wniosek o odwołanie całej Rady, zakwestionowanie jej legalnego charakteru spotkał się z zdecydowaną reakcją sporej grupy radnych, m.in.



Fot. BRONISŁAW BUGIEL

Kropka nad „i”

NAGRODĘ „RODZICE — WYCHOWAWCOM”, JEDYNĄ W POLSCE, PRYZNAŁ W 1989 ROKU SZESCIU WYCHOWAWCOM ZESPÓŁ DS WYCHOWANIA, SKŁADAJĄCY SIĘ Z RODZICÓW PRZY NARODOWYM CZYNIE POMOCY SZKOLE W WOJ. ZIELONOGÓRSKIM.

DO ROZMOWY ZAPROSILIŚMY LAUREATKĘ NAGRODY — RENATĘ GÓRSKĄ (NAUCZANIE POCZĄTKOWE, SZKOŁA POD STAWOWA NR 4 W ZIELONEJ GÓRZE ORAZ JEDNEGO Z RODZICÓW — ROMANA POSACKIEGO.

Do rodziców należało zgłoszenie kandydata do tej nagrody...

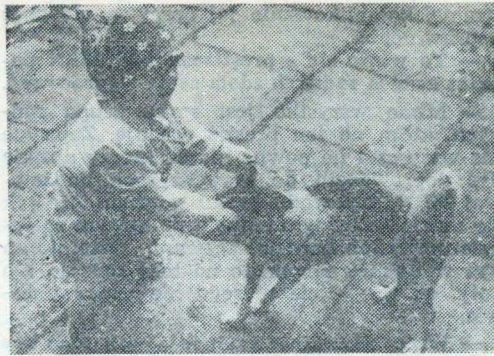
— R. Posacki — Tak. — Wiedzieliśmy, że będzie to najlepsze podziękowanie dla pani Górskiej za jej pracę. Przez 4 lata uczy moją córkę.

Podczas uroczystości wręczenia nagrody „Rodzice — Wychowawcom” przedstawiciel Kuratorium Oświaty i Wychowania w Zielonej Górze powiedział, że o kandydaturę Renaty Górskiej rodzice walczyli szczególnie. Bardzo zależało im na tym, by właśnie ona znalazła się wśród laureatów...

— R. Posacki — Ona nie tylko uczy i wychowuje nasze dzieci. Ani na chwilę nie zapomina o nas, rodzicach. Nam też potrzebny jest kontakt z nią, abyśmy mogli jak najlepiej pomagać swoim dzieciom.

Czy rodzice boją się kontaktu z nauczycielami?

— R. Posacki — Zwłaszcza na początku,



kiedy dziecko rozpoczyna naukę. Boimy się przede wszystkim, czy się sprawdzi, czy sobie poradzi. Ten lęk jest silny, objawia się również przy kontaktach z nauczycielami, ale po czasie przelamuje się, zwłaszcza jeśli wychowawca dostrzeże to i chce nam pomóc.

Ostatnio dużo się mówi o uspołecznieniu szkoły. O tym, że o jej losach decydować mają również rodzice. Tego muszą uczyć się obie strony.

— R. Posacki — Obecność rodziców w szkole, nie tylko na wywiadówkach, w dużej mierze zależy od osobowości nauczycieli. Pani Górską zaraziła nas bakcylem współpracy, zupełnie spontanicznie. Nie chodzi tu tylko o naprawienie ławki, czy przybicie gwoźdźka do ściany, ale również o wspólne wychowywanie dzieci. Nie kończy się ono w domu. Ważne jest, by różnica między szkołą a domem dla naszych pociech była jak najmniejsza.

Jesteście więc ciągle absorbowani w szkole?

— R. Posacki — Nie są to aż tak częste wizyty, choć w początkowej fazie nauki — w klasie I-III potrzebna jest nasza obecność — jak najczęściej. Wszystko po to, by w naszych pociechach nie zrodziła się antypatia do szkoły. Pamiętam, byłem na zajęciach szkolnych w pierwszych dniach nauki. Dzieci podczas zajęć chodziły po klasie, swobodnie, niektóre coś ja dły. Trochę mnie to zdziwiło. Pani Górską po wiedziało, że właśnie tak ma być, przecież to nie koszary, a dzieci nie żołnierze, żeby siedziały przez 45 minut równutko pod sznu rek.

— R. Górską — Współpraca z rodzicami to nie tylko moja inicjatywa. Może nie dla wszystkich jestem wzorem wychowawcy, nie do wszystkich dotarłam, bo przecież nie mam i 100 proc. rodziców chętnych do pomocy. Zresztą uważam, że to wręcz niemożliwe, ale zawsze na moją prośbę ktoś odpowiada. Poza tym prostymi sprawami, w których udział rodziców jest konieczny, liczy się najbardziej to, żeby dzieci wiedziały, że zdanie ich taty i mamy oraz prace, jakie oni wykonują, są widoczne w ich klasie. Cieszę się, kiedy mówią głośno — mój tata zrobił tę półkę, moja mama upiekła ciasto dla wszystkich.

Czy roli wychowawcy można nauczyć się na studiach?

— R. Górską — Polskie uczelnie nie przygotowywały do pracy z rodzicami. Sama uczy się tego przez cały czas. W programie studiów było na ten temat niewiele. Współpracuję z metodykami. Swoją wiedzę zawdzięczam panu Sokołowskiemu. On podpowiada mi, jak to robić.

— R. Posacki — Myślę jednak, że główną rolę w nawiązywaniu kontaktu z nami i dziećmi odgrywa osobowość nauczyciela. Jeśli ktoś ją ma — tak jak pani Górską, to wiele potrafi.

— R. Górską — Może wygląda na to, że my tu sobie uprzejmości prawimy, ale zawsze tak jest, że nauczyciel zachęca lub zniechęca, choć dużo zależy również od rodziców. Sama mam dziecko w szkole i znam tę drugą stronę.

Jaka jest recepta, by zachęcić rodziców do współpracy ze szkołą?

R. Górską — Nie wiem, nie mam takiej recepty.

R. Posacki — Trzeba mieć po prostu talent. Pani Górską sama zapracowała sobie na tę nagrodę. My postawiliśmy tylko kropkę nad „i”. Jest to pani pierwszy sukces zawodowy?

— R. Górską — Tak, jest pierwszy i w do dodatku największy. Zawsze zależało mi na tym, by dobrze wypaść w oczach dzieci i ich rodziców.

Dziękuję za rozmowę.

KATARZYNA HALICKA

Telemorele

Andrzej Bober powrócił. I to w glorii. Ponad sześć tysięcy widzów zażądało powrotu Bobera na ulicę Woronicza. Ta prawdziwa powódź korespondencji nabierała dodatkowego znaczenia, jeśli weźmiemy pod uwagę czas. Ostatni program „Listów o gospodarce” wyemitowany został tuż przed 13 grudnia 1981 roku. Minęło więc dokładnie osiem lat.

Okazało się jednak, że ludzie nie zapomnieli Andrzeja Bobera. I nic dziwnego. Jego „Listy o gospodarce” były drapieżnym programem, zajmującym się problematyką ekonomiczną. Pamiętam pełen podziwu felieton w „Polityce”, który z entuzjazmem opisywał stawianie ministrów pod ścianę. Autorzy audycji nie bali się żadnych urzędowych autorytetów. Pytali i przyciskali do muru...

Pamiętając tamtą bezpardoność zespołu Bobera z ciekawością obejrzałem nowe wydanie starych „Listów”. Mimo długiej zawodowej przerwy, gospodarz programu nic nie stracił ze swej werwy. Od strony formalnej audycja zrealizowana została po miarę szczerze.

Straciła tylko rzecz najcenniejszą — pazury. Bober w nowym wydaniu, to nie recenzent inicjatyw instytucji rządowych, ale ich

Pokorne listy

propagator. Powiem nawet więcej. Fragment najnowszych „Listów” — ten dotyczący walki z uwłaszczeniem nomenklatury — do wodzi, że również Andrzej Bober dał się sprowadzić do roli kościelnego, rozpylającego dymy kadziadlane nad wymagowanym diabłem.

Bardzo zgrabny felieton pokazał, w jaki sposób powstają państwowe spółki. Jego wymowa była jednoznaczna — natychmiast powstrzymać gangsterski proceder. No i dobrze, pomyślałem, mając jednocześnie nadzieję, że specjaliści tej klasy, co zespół Bobera, powiedzą jak inaczej doprowadzić do prywatyzacji, przepraszam, odpaństwowienia gospodarki.

Niestety, zamiast poważnej rozmowy, zaserwowano widzom pogadankę uświadamiającą. Winę zwalono na przepisy, system, no i pazerną dobę publicznego nomenklaturę.

Nie aspiruję do pozycji zajmowanej przez Andrzeja Bobera. (Nie ta wiedza, nie to doświadczenie). Pozwolę sobie jednak wyrazić telewizyjne „Listy” i postawić kilka istotnych pytań. W jaki sposób chcemy ruszyć gospodarkę bez kapitału? Przecież naprawdę duże pieniądze ma bardzo

niewielka liczba Polaków. Panów w rodzaju Grobelnego możemy policzyć do 20, no, może 30. I na tym koniec. Kto więc ma wykupić majątek państwowy po uczciwej cenie?

Jeśli więc wiemy, że do faktycznej, a nie pozorowanej prywatyzacji brakuje naszym przedsiębiorczym obywatelom pieniędzy, to zastanówmy się, co zrobić z tym całym kramem.

Uwłaszczenie nomenklatury było jednym ze sposobów rozwiązania naszego problemu. Jeśli odrzucimy emocje i na powyższe zjawisko spojrzymy nie z pozycji moralisty, ale pragmatyka, to zobaczymy dużą atrakcyjność takiego rozwiązania. Po prostu zaczęła nam powstawać nowa warstwa społeczna, grupująca ludzi już dystrybuujących tak potrzebnym kapitałem oraz majątkiem produkcyjnym.

Ostatnia kampania rozpętana wokół spółek zahamuje proces prywatyzacji gospodarki. Solidarność — za wyjątkiem jej neoliberalnego nurtu — potraktowała atak na uwłaszczenie nomenklatury jako doskonały sposób kanalizacji emocji społecznych.

Ewentualne potknięcia jej polityki rządowej podrzucone zostaną wraz z spółkami, a przy

okazji dostanie się jeszcze lewicy made in PZPR.

Architekci tej kampanii propagandowej zapomnieli jednak, że w ten sposób wyleją dziecko z kąpielą. Stłuszenie wytykając niemożliwość takiej prywatyzacji, doprowadzą jednocześnie do odrodzenia tendencji samorządowych w gospodarce.

Dla spustoszonej gospodarki jest to autentyczny ślepy zaułek. Mimo tragicznych doświadczeń jugosłowiańskich, znów pchamy się w kolejną, może bardziej ucywilizowaną, wersję gospodarki zetały zowanej. Z góry można przewidzieć praktyczny skutek takiej polityki: kolejna fala hiperinflacji, gonitwa płac i cen, puste półki w sklepach i pulki na ulicach.

Po kilku latach zaczniemy czytać w prasie oraz oglądać w „Listach” zgrabne felietony ośmieszające grupowe zarządzanie. A przez Polskę przetoczy się wielka fala żądań jak najszybszej prywatyzacji gospodarki...

Chciałbym raz jeszcze podkreślić — nie jestem obrońcą nomenklatury. Wolę rozwiązania czyste od początku do końca. Wymagam jednak od fachowców tej klasy, co Andrzej Bober, aby o problemach polskiej gospodarki mówili serio. Kryzysu ekonomicznego nie rozwiążemy propagandowymi nagonkami. Oto dowód — nomenklatura zostanie odsunięta od koryta, problemy pozostaną te same. Jak „załatwić” kapitał?

PIOTR MAKSYM CZAK



Fot. BRONISŁAW BUGIEL

PEŁNE UMYSŁY I BOGATE SERCA

Zewsząd sygnały, że nad kulturą zbierają się ciężkie chmury, co zresztą widać gołym okiem. Wydawcy zwracają autorom przyjęte poprzednio maszynopisy, jeśli ich wydanie nie rokuje finansowego sukcesu. Teatry zmieniają plany repertuarowe. Placówki kultury, że by żyć, rezygnują z swoich powinności, do których kiedyś zostały powołane. Rozwiązują się niektóre ogniska muzyczne, bo niewielu stać na coraz wyższe opłaty za kształcenie swoich dzieci. Niejasny jest los zespołów folklorystycznych. Coraz droższa, a więc coraz mniej dostępna staje się książka, nerw kultury. Zamyka się wiejskie kluby.

Związki twórcze, stowarzyszenia kultury nie otrzymują już złotówki na swoją działalność statutową. W tej ponoć czystej wodzie ekonomii kultura ma sobie sama radzić. Jak towar została rzucona na wolny rynek. W tym chaosie i niepewności najbardziej imponują mi mocne nerwy pani Minister Kultury i jej ekipy.

Trwają dyskusje, co dalej z towarzystwami regionalnymi, które od wielu lat są trwałym elementem w pejzażu kulturalnym naszego kraju. Rozwiązać, czy też schować do skrzyni i czekać na lepsze czasy? Dziś, aby działać, trzeba być zamożnym. A zamożni najczęściej zajęci są robieniem coraz większych pieniędzy. Na działalność pro publico bono już nie mają czasu ani ochoty. Może kiedyś zechcą sponsorować także kulturę? Wielu nie tylko w kulturze liczy dziś na Porczyńskich. Porczyńscy są teraz na gwałt poszukiwani. Jakie będą efekty tych poszukiwań, zobaczymy. Zdecydowana większość animatorów kultury w tysiącach miast, miasteczek i wsi przy należy do tak zw. inteligencji humanistycznej, a ta z każdym miesiącem ubożeje. Czy

zechcą oni społecznie zarabiać pieniądze, by móc społecznie działać? Wysycha gleba, na której rosną rośliny kultury.

Charakterystyczny i bardzo ważny w tej materii jest artykuł prof. Bogdana Suchodolskiego, przewodniczącego Narodowej Rady Kultury, która nie wiadomo, czy jeszcze istnieje. Opublikowała go „Polityka”.

„Za kilka lat — pisze ten wielki uczony — zregenerujemy organizm narodowej gospodarki, ale w tym samym okresie nie potrafimy odbudować humanistycznych wartości kultury w umysłach i sercach ludzi”.

Kultura wolnorynkowa to dominacja treści propagujących przemoc, nietolerancję, patologię, uczuciową tandetę. Efekt edukacyjny i estetyczny nieważny, byleby rzecz szybko przynosiła wielkie pieniądze. Mamy tego już przykłady na Węgrzech i w Jugosławii. Kopernik pomylił się twierdząc, że pieniądź zły wypiera pieniądź dobry. W kulturze, niestety, teza ta jak dotąd wszędzie się sprawdza.

„I będziemy mieli pełne półki sklepowe — dowodzi profesor Suchodolski w tym samym szkicu zatytułowanym jak raport z pola walki: „Obrona kultury” — i postulujemy rynek, ale ludzie będą mieli puste umysły i jałowe serca”. I radzi, żebyśmy wszyscy wspólnie działali, „by droga prowadząca do gospodarczych sukcesów była uwolniona z sidła konsumpcyjnego pojmowania życia i mogła być dopełniana edukacją humanistyczną”.

I to, sądzę, cel wszystkich, którym dobro kultury narodowej jest drogą jak własne zdrowie. I którzy nie dali się jeszcze, a może już, zniewolić nowym fetyszom, które przecież zawsze przynosi każda zmiana warty.

JACEK WOCH

Zachodem poszły dzieje

Wkrótce 45 rocznica powrotu Polski nad Odrę, Nysę i Bałtyk.

Przed historykami wylania się zadanie ponownego przeanalizowania losów tych ziem. Od zarania naszej państwowości związanej w sposób naturalny z biegiem Odry i wybrzeżem Bałtyku, poprzez wieki naszej słabości na zachodnich rubieżach państwa, aż do naszego powrotu na ziemie, które nazwaliśmy „odzyskanymi”.

Już pobieżny rzut oka na najstarsze dzieje Polski wskazuje, w jakim kierunku rozwijało się państwo Mieszka I i wszystkich jego następców z dynastii piastowskiej. Potwierdzają ten zachodni kierunek najstarsze polskie kroniki: Galla Anonima, Wincentego Kadłubka, Wielkopolska Kronika Polska, Kronika Książąt Polskich i wreszcie Jana Długosza „Dzieje Polski”.

W rezultacie ekspansji niemieckiej odepchnięcie Polaków z ich najstarszej zachodniej granicy nie stało się równoznaczne z wykreśleniem z pamięci narodowej naszego pierwotnego stanu posiadania. Mimo niesprzyjających warunków politycznych uniemożliwiających jego odzyskanie, tradycje łączności z ziemiami nadodrzańskimi, szczególnie żywe w Wielkopolsce, wciąż przypominane narodo wi przez wielu pisarzy i polityków, nie pozwalały zapomnieć o doznanych stratach. Nasza ekspansja na wschód nie oznaczała wykreślenia z pamięci Polaków ziem nadodrzańskich, o czym często przypominali publicyści i historycy Oświecenia z H. Kollątajem, A. Naruszewiczem i J.U. Niemcewiczem.

W okresie zaś politycznej niewoli pisarze i historycy często wracali do dziejów Polski Piastowskiej, wskrzeszając swymi opowieściami i traktatami naukowymi dawno minione okresy naszego gospodarowania nad Odrą i Bałtykiem. Trzeba tu wspomnieć o twórczości Józefa Ignacego Kraszewskiego, Bolesława Prusa, Józefa Szujskiego, Kazimierza Jarocho wskiego, Michała Bobrzyńskiego.

A gdy po I wojnie światowej wyłoniło się niepodległe państwo polskie, już w 1919 roku Alfons Parczewski, niestrudzony badacz języka polskiego, wydaje memoriał „W sprawie zachodnich granic Polski”. Postuluje w nim włączenie w obręb odrodzonego państwa polskiego Wrocławia, Śląska oraz niektórych powiatów nadodrzańskich, nadwarciańskich i nadnoteckich.

W jego ślady poszli w następnych latach uczeni krakowscy, którzy wydając w r. 1933 monumentalną „Historię Śląska”, przypomnieli polskie władanie tą dzielnicą do końca XIV wieku. Szukał śladów polskiego władania nad Odrą, przedwcześnie zmarły, uczony poznański Teodor Tyc. Z ogromną wytrwałością badał początki Polski nad dolnym biegiem Odry Józef Widajewicz, rozświetlając mroki politycznej działalności Mieszka I. Czynieili to również inni uczeni ośrodka poznańskiego wspólnie z językoznawcami, zgrupowani wokół czasopisma „Slavia occidentalis”, w którym opublikowano wiele znakomitych rozpraw Ty mienieckiego, Rudnickiego i innych.

Nauka polska w latach 1919-1939 dobrze za służyła się krajowi, przypominając o dawnych naszych granicach biegnących wzdłuż Odry i Bałtyku. Powrót zaś nasz na te ziemie po II wojnie światowej, pozwolił uczonym polskim w oparciu o dotychczasowy do robek, na rozwinięcie badań nad ich przeszłością, wzbogacając naukę polską znakomitymi dziełami takich uczonych jak Józef Ko strzewski, Kazimierz Tymieniecki, Władysław Kowalenko, Karol Małczyński, Michał Szaniecki, Gerard Labuda, Zdzisław Kaczmarczyk, Zygmunt Wojciechowski i wielu młodszych, kontynuujących badania nad dziejami ziem zachodnich.

Należy pamiętać o tych wszystkich, którzy w niesprzyjających warunkach rozpoczęli pionierską pracę badawczą nad polskimi ziemiami macierzystymi. Właśnie teraz na progu jubileuszu 45-rocznicy powrotu tych ziem do Polski.

WŁADYSŁAW KORCZ

Relację z posiedzenia Rady Ministrów na temat bezpieczeństwa publicznego „Rzeczpospolita” zatytułowała „Obywatel oczekuje ochrony”. Czy rzeczywiście? Czego oczekuje obywatel, ochrony czy sprawiedliwości?

Jesteśmy zrośnięci od wieków z takim schematem myślenia: za zło, które wyrządził przestępca, należy odwzajemnić się złem, bo sprawiedliwości musi się stać zadość. Rozmija to się z Nauką „Zło dobrem zwalczajcie”, z tej prostej przyczyny, że sprawiedliwość nie nadaje się jako instrument walki. Sprawiedliwość bez przemożności należy do rzeczywistości pokoju. Nie dziwnym się więc, że od tysiąca lat zwalczano się w Polsce przestępczość za pomocą „sprawiedliwości”

Artykuł dyskusyjny

Sprawiedliwość czy ochrona?

ci” i skutku nie widać. Prawo karne zaś pozostaje klębowiskiem pytań bez odpowiedzi.

Kara jest zamachem. Kara śmierci to zamach na życie, kara pozbawienia wolności — zamach na wolność, grzywna jest zamachem na mienie. Czyż nie zauważamy, że sąd w majestacie prawa równa się z przestępcą-zamachowcem, że istotnej różnicy między nimi nie ma? Tkwi ona w celu, jeżeli oczywiście wyrok jest wydawany w jakimś celu, a nie dla zaspokojenia społecznego odruchu zemsty, który to odruch nie jest celowy.

Odwetowa treść działalności karnej państwa odkrywa się w naszej mowie: „dostał, na co zasłużył”, „siedział za to, że ukradł”, „sąd był wyrozumiały”, „surowy sąd”; wszak i samo pojęcie sprawiedliwości potocznie oznacza: dać ile się należy. Z tym, że kto dokonuje zamachu, ten nie daje, lecz przeciwnie, dlatego podpinanie wyroku karnego pod sprawiedliwość jest nieświadomym nadużyciem tej nazwy.

Dodajmy jeszcze, że nie każde przestępstwo jest zamachem i nie każdy zamach przestępstwem — no i mamy otwartą

PUSZKĘ PYTAŃ I PROBLEMÓW.

Właściwe, nieprzenośne znaczenie kary tkwi w tym, że ojciec wymierza synowi klapsa za to, że zbroił. Kiedy ojciec, wielokrotnie od dziecka mądrzejszy i niekwestionowany autorytet, dokonuje raczej symbolicznego, raczej psychicznego niż fizycznego zamachu na nietykalność osobistą dziecka w celu wychowawczym, to to się mieści

w pojęciu kary i ma sens. Natomiast gdy dorosły dorosłego wychowuje przy pomocy zamachu niesymbolicznego, to jest w tym coś z farsy i smutku. Jeśliby ojciec syna zabił za psotę, nikt tego do kary nie zaliczy, nawet sąd karny, który za taki czyn może ojca „ukarać” śmiercią. Zbitka słów „kara śmierci” zawiera w sobie schematyczną sprzeczność i trzeba się bardzo, od pokoleń z tym osłuchać, żeby tej sprzeczności już nie dostrzegać.

Logika i pragmatyka każą odrzucić karalniczą działalność państwa i zaniechać zabawy w negatywną sprawiedliwość. Szkoda czasu i środków. Należy zacząć skutecznie chronić obywateli przed zamachami jednostek społecznych niedorozwiniętych. Jak? Przez odblokowanie natu-

chowca. Personel więzienny zaś owszem, miałby obowiązek pomagać w tym skazanemu, ale tylko pomagać i nie stanąć przed zarzutem, który dziś jest całkiem uzasadniony: — No i jak wyście go zresocjalizowali, skoro popadł w recydywę?

Konieczność odzyskania społecznego zaufania — jeżeli zamachowiec taką odczuwa — nie jest jedynym następstwem naturalnym zamachu.

Należy również ujawnić zamachowca. Ująć go, udowodnić mu. To kosztuje ciężkie pieniądze. Nazwijmy to kosztami milicyjno-sądowymi. Dotychczas państwo dotuje w tym zakresie przestępców, oczywiście z kieszeni podatnika — i czy to jest sprawiedliwe? Przestępca powinien ponieść te koszty i co ważne, z pełną świadomością, że je zwraca. Nie wiem, jaką funkcję ekonomiczną spełnia grzywna, ale właśnie na tym, że nie wiem, polega jej nieszczęście. Potencjalny zamachowiec, kiedy planuje zamach, musi wiedzieć, że zapłaci z własnej kieszeni koszty życia paliwa w MO, godziny i nadgodziny milicjantów, koszty łączności, nawet koszty amortyzacji kajdanek. Koszty rozprawy sądowej. To by dopiero miało

WPLYW ODSTRASZAJĄCY,

ponieważ wiadomo, że złotówka magistra vita est.

Takie koszty powinny być podane do publicznej wiadomości wraz z publikacją wyroku.

Pobyt w więzieniu również kosztuje i także zapytajmy, kogo.

Takie ustalenie sprawy nadałoby również społecznie aprobowany sens pracy Służby Więziennej, która obecnie „pilnuje” przestępcy i uczestniczy w zamachu na jego wolność, w nowym zaś układzie pilnowałaby, strzegła społeczeństwa warując przy internowanych.

Całe więc przedstawienie sprawy z odwetowej „sprawiedliwości” na ochronę społeczeństwa przydałoby jej właściwego sensu, uchyliłoby naszą pytań bez odpowiedzi, wyprostowałoby wiele.

Wiem, że koncepcja ma tak odległą perspektywę przed sobą, iż jej końca nie widać; że spotka się z wieloma zdaniem przeciwnymi, które, jak wierzę, uszlachetniają jej kształt. Ale niektóre rzeczy można zastosować już dziś, nie czekając na likwidację prawa karnego.

Jako zielonogórzanin postuluję, żeby w zielonogórskich sądach podawano do publicznej wiadomości koszty milicyjne i sądowe przy każdym prawomocnym wyroku, żeby te koszty publikowały nasze prasa i radio. Żeby Straż Więzienna miała świadomość, że strzeże obywateli przed przestępcą, a nie pilnuje przestępcy, aby nie uciekł. Żeby przestępca wiedział, że sam przed sobą odpowiada za skutki autoresocjalizacji, a jeśli te skutki osiągnie, zostanie niezwłocznie wypuszczony przy zastosowaniu obecnych środków prawnych.

JERZY PODBIELSKI

BUNT OSCARA

Najpierw boje prowadziła prasa. Liczne recenzje domagały się wydrukowania w języku polskim dzieła, będącego prawdziwą sensacją wydawniczą na europejskim rynku. Zanim jednak odpowiednie władze powiedziały sakramentalne „tak”, książka została opublikowana przez drugi obieg.

I bardzo dobrze. Inaczej bowiem, prawdopodobnie, „Blaszany bębenek” Güntera Grassa jeszcze wiele lat czekałby na łaskawe czasy. A tak książka trafiła na normalne lady księgarskie, stając się przyczyną nowej fali namiętnych dyskusji o stosunkach polsko-niemieckich.

O wiele gorszy los spotkał film nakręcony na podstawie książki. Zresztą według scenariusza autora. Obraz nie może trafić do dziś na nasze ekrany z powodu jednej, jedynej sceny. Myślę tu o wkroczeniu Armii Czerwonej do Gdańska i scenie gwałtu młodej Niemki przez azjatyckiego pochodzenia żołnierza.

Scena ta nakręcona została bardzo subtelnie. Na ekranie nie widać żadnych szczegółów. Widz może domyślić się rozwoju wydarzeń, niż widzi wszystko na własne oczy. Ale mimo tej dyskretności realizatorów film i tak objęty został zakazem rozpowszechniania. Po prostu nie pasował do oficjalnie popularyzowanej wizji Armii Czerwonej, wyzwolającej nasz kraj spod okupacji hitlerowskiej. Kino mogło pokazywać radzieckich żołnierzy wyłącznie jako dzielnych ludzi, walczących za naszą i waszą wolność. (Komunista nie mógł przecież dopuszczać się tak niecznych czynów jak gwałce nie bezbronnych kobiet).

Być może teraz cenzura zmieni swoje stanowisko i dopuści „Blaszany bębenek” do rozpowszechniania. Myślę, że zwalczająca dziś bardzo by się przydała. Podejmuje bowiem próbę rzetelnego opisu stosunków polsko-niemieckich w przedwojennym i wojennym Gdańsku.

Bohaterem i książką, i filmu jest kilkuletni chłopiec Oscar, który widząc nieprawość świata, postanawia powstrzymać biologiczny wzrost swego organizmu. Dzięki temu zabiegowi formalnemu Grassa, otrzymaliśmy interesujący obraz świata dorosłych widzianych z pozycji małego chłopca.

Oscar urodził się w rodzinie kaszubsko-polsko-niemieckiej. Ta społeczność przez całe lata żyła w zgodzie i symbiozie. Babka Oscara uratowała życie Polakowi chowając go pod swoimi obszernymi spódnicami. W ten sposób związało się małżeństwo kaszubsko-polskie. Ich dziecko (matka Oscara) wyszła za Niemca, kochając się jednak z kuzynem Polakiem. Oscar podejrzewa nawet, że jest owocem tej miłości.

Sielankę rodzinną przerywa wybuch II wojny światowej. Grass ucieknie pokazuje obronę Poczty Gdańskiej i nie przemilcza dalsze go losu jej obrońców. Analizuje źródła będące pożywką dla nacjonalizmu i faszyzmu. Dochodzi do wniosku, że to drobnomieszczańskie system wartości jest winien, a nie specyficznie narodowe cechy. Kult posiadania oraz pragnienie osiągnięcia wyższej pozycji społecznej były głównymi motorami opowie-

zenia się Niemców po stronie faszyzmu.

Jest w tym filmie wspaniała scena, więcej mówiąca o przyczynach demoralizacji społeczeństwa od całych grubych rozważań esejistycznych. Oscar schował się pod trybuną honorową zbudowaną na cześć hitlerowskiego dostojnika, który przybył do Gdańska z Berlina. Młodzieżowa orkiestra gra ostrego marsza. Młodzi i starzy, ubrani w stroje organizacyjne kiwają w rytm marsza kwiatami i transparentami. Dostojnik kroczy w takt muzyki przez szpaler gapiów. Oscar zaczyna wygrywać rytm walca. Kapelmistrz podchwytuje jego rytm. Już po chwili cały zespół gra skoczno walczyka wie deńskiego. Jeszcze przed sekundą tłum obserwatorów emanował organizacyjną dyscypliną stojąc w powadze i w cielęcym zachwycie. Ale już po chwili ta samo dyscyplina każe poddać się nowemu rytmowi. Tłum zaczyna tańczyć walca. Partaig zamienił się w majówkę.

Polecam państwu ten film. Krąży po ludziach, nagrany na pirackich kasetach. Polecam także książkę. Dostępna w bibliotekach.

PIOTR MAKSYMCAK

Przemiany, przemiany... Gdyby popatrzyć na Europę zakończoną 1989 roku z lotu ptaka, to nawet z takiego dystansu zmiany w krajobrazie politycznym są oczywiste. W momencie, gdy ten tekst powstaje, nadeszła właśnie wiadomość, że odbyła się egzekucja na osobie Ceausescu i jego żony. Z treści komunikatu wynika, że odbył się nad nim i jego małżonką sąd doraźny. W tym przypadku trudno kwestionować wyrok. Uzasadniają go zaszłości już powszechnie znane, a w momencie, gdy ten tekst się ukazuje, z całą pewnością będzie do nabycia numer „Forum” z przedrukami kompetentnych materiałów z prasy światowej.

Przyjęło się powszechnie uważać rumuński

ny był już w epoce niewolnictwa w starożytności (m.in. w państwie Hetytów), w średniowieczu, w feudalizmie (teraz nie wypada przypominać, gdzie najdokładniej), wreszcie w Iranie Chomeiniego, gdzie zresztą ulega erozji. Zewnętrzny jego przejawem są: absolutna i drobiazgowo dyktatura, nieomylność przywódców jedynie prawdziwej i obowiązującej ideologii (religii), skrajna nietolerancja wobec inaczej myślących.

Porządek po-poczdamski kojarzy się z trwałością powojennych granic w Europie. Za ich nienaruszalnością wypowiedziała się potem KBWE w Helsinkach (1975). Oczywiście, porządek po-jałtański i po-poczdamski ustalony został przez mocarstwa zwycięskie w II woj

czyniały Wielkie Niemcy oraz akcji pacyfistycznych Anglii w Irlandii (od 1916 do 1923) — w bieżącym stuleciu państwa zachodnioeuropejskie nie napadały na siebie z powodów terytorialnych. Emocje się wygotowały i wygasły. Nie ma racjonalnych podstaw, by sądzić, że w naszej części Europy musi być inaczej.

Wreszcie jest — na dziś — całkiem praktyczny powód do optymizmu. Żadna wielka draka pomiędzy maluczkimi na tym kontynencie nie leży w interesie żadnego z Wielkich Braci, ani tego zza Oceanu, ani tutejszego. Jeśli obaj solidarnie tupną w razie potrzeby, to chyba wystarczy.

Pomimo dzielących ich antagonizmów — a nie tylko różnic — tępnieli już raz w kwestii sueskiej w 1956 roku. Poskutkowało. A tępnieli nie tylko na Izrael i Egipt! USA, nawiasem mówiąc, zachęcały ZSRR do interwencji w Rumunii w sposób jednoznaczny. Zadeklarowały nawet poparcie.

Nie należy sądzić, by deklaracja o tym poparciu była rzucaniem słów na wiatr. Dobrze jest jednak pamiętać, że sugestia interwencji wyrażona została w określonych okolicznościach. W trakcie interwencji USA w Panamie.

Sprawa Panamy, nawet rodowodu tego państwa, sprawy Ameryki Łacińskiej, w ogóle kwestia latynoska a interesy i przyszłość USA — to całkiem oddzielny temat. Jakkolwiek od strony widowiskowej — interesujący. Choćby dlatego, że masakry spowodowane w Chile — wiele tysięcy zabitych i pomordowanych — nie sprowokowały USA do czynnej interwencji przeciw Pinochetowi. Przeciwnie.

Dyktator Panamy, Noriega (do niedawna pupil) został teraz przez Amerykanów obalony, ale nie ujęty. Schronił się w przedstawicielstwie Watykanu. Mówi się, że jest wątpliwe, aby został władzom USA wydany, gdyż Watykan nie ma z USA umowy o ekstradycję. Chyba jednak nie tylko o względy formalno-prawne tutaj chodzi. W każdym razie — jeśli nawet nic innego i interesującego się w najbliższych miesiącach nie wydarzy — będziemy świadkami ciekawych ruchów wokół osoby Noriegi na dyplomatycznej szachownicy.

Figurka wykonała popisowy numer w grze. Kolejne ruchy należą do partnerów.

FRANCISZEK BRÓDZIK

Toczy się świat

— pomimo skali ofiar — udany zryw, za ostateczną rozprawę z totalitaryzmem w Europie środkowo-wschodniej (także Albania uznała nowe władze rumuńskie i zasadność przemian w tym kraju).

Głośno też, coraz głośniej, o końcu pojałtańskich porządków w Europie. Gdzie niedługo słyhać o kresie po-poczdamskich porządków. A to już brzmi nieco inaczej.

Koniec czegoś tam równa się z reguły początkowi czegoś tam...

Pisanie o różnych sprawach, szczególnie takich, jak zjawiska i ciągi zjawisk w życiu państw i narodów — nie wpłynę na ich bieg. Mają one swoją wewnętrzną dynamikę. Co jednak nie przeszkadza wymądrzaniu się na te tematy. Powymądrzajmy się tedy nie zominając wszakże o potrzebie elementarnej ścisłości w określaniu różnych rzeczy. Bo bez, choćby odrobiny ścisłości, niczego się pojąć nie da.

Wyjaśnienia lub przypomnienia wymaga przede wszystkim termin totalitaryzm (totalizm). Jest to otóż taki system organizacji państwa, taka technika rządzenia, która polega na kontrolowaniu i regulowaniu całości życia społecznego i życia jednostek. Wbrew obiegowym sądom nie jest totalitaryzm w naszym XX wieku, choć nam znany jest pod postacią faszyzmu i stalinizmu. Stosowa-

nie światowej. A więc kojarzy się ze strefami ich wpływów i interesów.

Koniec totalitaryzmu — nie smuci.

Wiosna ludów Anno 1989 — co z sobą przyniesie? W prorocztwa bawić się nie ma sensu. Ale pamiętać należy, że:

* do II wojny światowej ta część kontynentu była kotłowaną waśni narodowych, niepokojów, konfliktów międzypaństwowych;

* do niedawna wzajemne pretensje tłumił strach przed grubym kijem Wielkiego Brata, który w swojej strefie żadnych kłótni sobie nie życzył. Strach minał. Wielki Brat zmienił radykalnie swoje postępowanie i myślenie oraz ma swoje problemy i kłopoty.

Rodzi się pytanie, czy nasza część Europy wróci do recydywy. Jest takie niebezpieczeństwo. Widać je w Jugosławii. Na szowinizmie chciał utwierdzić swoją władzę Żiwkow w Bułgarii oraz Ceausescu w Rumunii. Władzy nie utrzymali, ale na ile nietrwały okazał się posiew nienawiści między narodowościami? Na ile odżyją stare resentymenty typu: była przecież kiedyś Wielka Bułgaria, były Wielkie Węgry?...

Ale na postawione pytanie prawdopodobna jest odpowiedź optymistyczna. Historia nie musi się powtórzyć. W Zachodniej Europie też kiedyś niewąsko się kotłowało i wrzało. A jednak — jeśli nie liczyć tego, co powy-

Przez Zieloną Górę

Wehikułem czasu

Nastal czas przemian. To, co było, wydaje się złe. Chciałoby się, by to, co będzie, było lepsze. Tymczasem trwają spory o nazwy ulic, lokale, nowe struktury, wpływy, racje.

Na starówce ruch. Z „Baltoną”, Modą Polską i „Ewą”. Domem Książki i Galerią Sztuki, Delikatami, „Zubrem” i „Bachusem”, kasami PKO i znobilizowanym cinkciarstwem, kwiatkami pod Ratuszem i „Nadodrzem” nad „Ratuszową”, jest — że deptak zielonogórski — salone m miasta, czy nie jest?

Wokół starych kamieniczek wystają stragany, kantory i inne dziwolągi. Towarzystwo Miłośników Tradycji chce, żeby wyrósł „grzybek”. Może wkrótce ktoś zechce, by na skrzyżowaniu Al. Niepodległości z Chrobrego na powrót stanął samolot?

Póki co, wyobraźmy sobie, że wylądował tu, wprost z powieści Juliusza Verné, wehikuł czasu. Wsiadamy i przenosimy się w lata dwudzieste.

Zielona Góra nazywa się Grünberg i jest spokojnym, dwudziestotysięcznym miastem. Życie to czy się tu wolno, lecz pracowicie. Wokół lasy, ulice toną w zieleni. Jest wczesne rano. Na klamkach

drzwi i furtek wiszą lniane woreczki. Młody piekarczyk jeździ wózkami i do woreczków wkłada chleb i gorące bułki, zgodnie z zamówieniami. Za nim mleczarz rozwozi mleko.

Pachnie świeża kawa. Ten mocny zapach wydziela palarnia, mieszcząca się obok hotelu, zwanego później „Śródmiejskim”. Dokładnie tu, gdzie mieścił się będzie w latach 80-tych Galeria Sztuki.

Kierując się dalej, trafiamy do fabryki czekolady. Zielonogórskie pralinki nadziewane są masą z orzechów i likieru.

Trzeba gdzieś zjeść śniadanie. W mieście jest przynajmniej 30 takich miejsc, otwartych od rana: szynki, restauracje, bary. „Parthotel”, „Pod Orłem” i inne hotele proponują posiłki w ogrodzie. Hotel „Bahofs” reklamuje się tym, że od 30 lat niezmiennie prowadzi go pan Ernst Rupke.

W piwiarniach podają piwo, (jest też „Piastowskie”) i z dwóch zielonogórskich browarów. Hotel

„Pod zielonym wieńcem” obok Wieży Głodowej ma własną świniańnię, ubojnię i masarnię. „Co sobota świeże kiszki” — głosi napis na drzwiach.

Miasto słynie z czystości. Obcy przechodzień nie domyśli się, że co drugi dom ma na zapleczu chlewik. Rzeźnictwo jest tu rzemiosłem pełnym godności.

Gimnazjum przy placu, nazwanym po wojnie Słowiańskim. Szkoła żeńska. Przy Zeppelinstrasse, późniejszej Bema, szkoła zawodowa. Młodzież nie ma tu dużego wyboru. Bardziej ambitni wyjeżdżają po naukę do większych miast.

Rodzice wówczas ścieśniają się, sprowadzają do pokoju z kuchnią, a resztę pomieszczeń, czasem całe pięterka i strychy, przeznaczają na hotele. W zamian uzyskują niższe podatki. Małych hotelików z całonocnym wyżywieniem, lub tylko ze śniadaniem, z kąpielami lub bez, jest w mieście bez liku. I wszystkie jakoś prosperują, o dziwo.

Przy Bahnhofstrasse, zwanej po latach Aleją Niepodległości, pod numerem 6 „Kreissparkasse” — kasa oszczędności. Przy Botanischerstrasse przymiarki do wielkiego ogrodu botanicznego, który obejmie palmiarnię i sięgać będzie lasku na wzgórzach, nazywanych później Piastowskimi.

Wokolicach ulicy, znanej w latach 70—80 jako Folszowa, oczyszczalnia ścieków

i kompostownia. Magistrat zatrudnia czterech ludzi, którzy zbierają odpadki, sortują je, przysypują ziemią i robią kompost — tak przydatny w bujni rozwijającym się ogrodnictwie i sadownictwie. Z zielonogórskich jabłek, poza octem i sokami, robi się też marmolady — w fabryce mieszczącej się w pobliżu ulic, zwanych po latach Łużycką, Dąbrówki i Jedności Robotniczej.

Fabryka wódek Ernsta Hoffmana! Koniaki firmy „Raetsch i spółka”! Szampany Gremplera! Sześć wytwórni win!

Ciekawe jak się urządza Herr Raetsch. Otóż ściąga z Alzacji podie wina, drogą wodną. Beczki płyną — aż do Cigacic, skąd transportowane są wozami konnymi do Zielonej Góry. Tu Herr Raetsch według własnej receptury robi z nich trunki mocny i słachetny: koniak. Wyrobem koniaku trudni się też firma „Kulczyński”.

Jeśli naszym wehikułem czasu trafimy na maj lub październik, przyjdzie nam uczestniczyć w uroczystościach „weinfest” — święta wina. Zielona Góra dwa razy w roku ma takie święta. Właściciele winnic nie żałują wtedy niczego. Dokładają się też imni. Całe miasto je, pije i bawi się.

Ciąg dalszy na str. 8

Wehikułem CZASU

Ciąg dalszy ze str. 7

Jeziorko z samotnym drzewem na wyspce — romantyczny zakątek, miejsce niedzielnych wycieczek rodzin z dziećmi, i spotkań zakochanych wieczorami. „Wagmostaw”: stąd płynie woda do basenu — z szatnią i brodzikiem dla najmłodszych. Jest to fundacja inżyniera Georga Beuchelta, właściciela zakładów, znanych po latach jako „Zastal”.

Inżynierowi Beucheltowi marzyło się zbudowanie dużej łaźni dla miasta, oraz krytej pływalni, na terenie późniejszego placu Powstańców Wielkopolskich. Marzenia nie zdążył zrealizować; zmarł w 1913 roku.

W tej okolicy, w pobliżu drukarni Fiedlera, jeszcze do 1934 roku stać będzie synagoga, miejsce modlitw około trzystu mieszkańców miasta narodowości żydowskiej. Kiedy do rządów dojdą naziszi, powstanie problem: synagogę trzeba będzie zburzyć, ale nikt się nie pokwapł. Władze miasta zmuszone zostaną do ogłoszenia, że kto budynek rozbierze, otrzyma bezpłatnie cegły i wszystkie materiały z rozbórki.

W mieście istnieje kilka różnych gmin wyznaniowych, z których największa, ewangelicka, liczy około 13 tys. osób, a następnie katolicka około dwóch tysięcy. Są luteranie, baptyści, jeńhowici. Przy Bahnhofstrasse pani Liddy Beuchelt — dziedziczka fortuny po zmarłym bracie, buduje kościół ewangelicki pod wezwaniem Najświętszego Zbawiciela.

Wracamy w pobliże Ratusza. Króluje tu dwupiętrowy, okazały dom bogatego kupca nazwiskiem Grau. Na piętrze mieszkanie, na parterze wielki sklep, w nim wszystko dla pięknych pań: od mydeł i bielizny, po kapelusze i kosmetyki. Najmodniejsza jedwabna konfekcja sprowadzana jest z Berlina.

W niedzielę można sobie kupić bilet i popatrzeć na ekran „Lichtbildstelle”, albo innego kina, albo też posłuchać muzyki w parku lub w sali koncertowej. Obowiązkowo przeczytać gazety: pana Levisona „Grünberger-Wochenblatt” — otwartą na nowości i liberalną, nieco konserwatywną „Pageblatt” lub tygodnik „Amtblatt”.

Własną gazetę wydaje gimnazjum. Raz w roku władze miejskie wydają w formie książkowej sprawozdanie z działalności, wyszczególnieniem wszystkich dochodów, wydatków, wydarzeń. Wszystko to drukują drukarnie Fiedlera i Levisona.

Koniec podróży. Łądujemy, wydamy i wkraczamy prosto w rok 1990, pełen kłopotów i znanych zapytania. W dziennikarskim konesansie w przeszłość towarzyszył nam historyk mgr Mieczysław Szyłko, archiwariusz z archiwum Wojewódzkiego w Stańce Kisielinie.

EWA FOSS

Z KS. PRALATEM HENRYKIEM DWORAKIEM REKTOREM GORZOWSKIEGO WYŻSZEGO SEMINARIUM DUCHOWNEGO ROZMAWIA HALINA ANSKA

Na 65 kilometrów z Zielonej Góry do Gorzowa Wlkp., między Świebodzinem a Międzyrzeczem, leży stara wieś Gościkowo. Tu w XIII wieku przybyli Cystersi i, zachwyceni okolicą, przydali miejscu temu nazwę „Paradisus” — raj. W ten sposób powstała podwójna nazwa Gościkowo-Paradyż.

Kompleks budynków klasztornych, niegdyś siedziba opactwa i ostoja polskości, dziś bezcenny zabytek architektoniczny i sakralny, przyciąga uwagę turystów z całej Europy.

Od 37 lat mieści się tu wyższa uczelnia duchowna, która — jak powiedział w swym niedawnym liście pasterskim ks. biskup ordynariusz dr Józef Michalik, jest „sercem i źrenicą oka całej diecezji”.

Przechodzę przez furtkę w mroźny, grudniowy ranek. Moim cicerone jest ks. Czesław Krocak — wikariusz z kościoła Najświętszego Zbawiciela w Zielonej Górze, absolwent tego seminarium sprzed kilku laty.

Droga przez dziedziniec, bramę, wielki wirydarz, korytarze i schody trwa kilka minut. Jestem u celu. Rektor ks. dr Henryk Dworak wyraził zgodę na rozmowę dla „Nadodrza”.

● Skąd biorą się kandydaci na alumnów i w jaki sposób się zgłaszają?

— Są maturzystami po szkołach średnich, w większości z naszej diecezji. Dochodzą do nas najczęściej poprzez swych katechetów. To bardzo wartościowa młodzież.

● Wywodzą się, jak sądzę, z rodzin religijnych. Czy trafia się czasem ktoś ze środowiska niewierzącego?

— Tak, ale przeważnie rezygnuje po pierwszym roku. Bardzo ważne jest to, co człowiek wynosi z domu. Czasem całe życie pamięta się, co powiedział ojciec albo matka.

Będąc dzieckiem chodziłem z ojcem nad rzekę, gdzie rosły wierzby. Kiedyś złamałem gałązkę i ojciec wyraził się: „Zraniłeś ją!”. Nigdy już czegoś takiego nie zrobiłem. Jeden z moich profesorów na KUL-u mawiał, że ważne jest, by człowiek od najmłodszych lat utrwał w sobie rzeczy dobre. Stąd wielka rola rodziny i wielki wpływ rodziców.

● Jak to się dzieje, że chłopiec po średniej szkole, z maturą, dyplomem technika, zawodem, rezygnuje ze wszystkiego, co niesie życie — zabaw, dziewczyn, swobody, — i wybiera ciszę i modlitwę?

— Nie wybiera, lecz zostaje wybrany. Pismo święte podaje słowa Chrystusa: „Nie wyście mnie wybrali, ale ja was wybrałem”. I powiada: „Proście Pana żniwa, aby dał robotników na swoje żniwo. Żniwo jest wielkie, a robotników mało”.

● Czym więc jest powołanie do kapłaństwa i jak się objawia?

— Jest myślą — wewnętrznym głosem. Ci młodzi, którzy do nas przychodzą, idą po myśli objawienia. „Pójdź za mną” — powiedział Chrystus. Nagle młody człowiek zdaje się słyszeć te słowa, skiero wane do siebie. To jest Boże powołanie.

● Idąc tutaj widziałam alumnów. Ich twarze były jasne i pogodne.

— A jednak regulamin jest surowy i dla młodego człowieka, który znajduje się nie na swoim miejscu, trudny do akceptacji.

● Co się musi, a czego nie wolno?

— Regulamin jest połączeniem obowiązków studiów i pracy nad sobą. Alumn jako student musi uczyć się pilnie wszystkich przedmiotów, jakie są w programie, sprawdzać się, zaliczać egzaminy. Natomiast jako człowiek przygotowany do stanu kapłańskiego, musi pracować nad porządkowaniem swego wnętrza, nad wszystkim, co radeńsi się w pojęciu życia nadprzyrodzonego, w ascezie i modlitwie.

Niebezpieczne jest podnoszenie poziomu intelektualnego i wiedzy, bez ubogacania się duchowego. Wszystko to należy do obowiązków alumna. A czego nie wolno? Bagatelizować tych spraw.

● Księża mają zazwyczaj dość przyjemną powierzchowność. Czy jest to może jeden z warunków stawianych przy przyjmowaniu do seminarium?

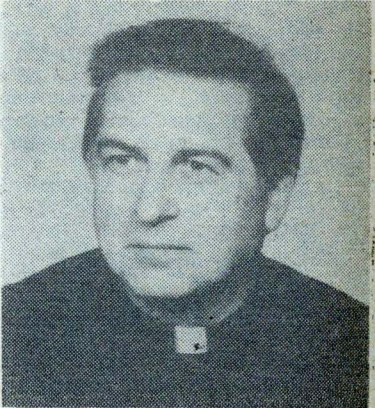
— Tak. Nie może zostać duchowym ktoś z wyraźną deformacją w postawie, także wielką blizną czy innym znakiem szczególnym, nieestetycznym i rzucającym się w oczy. Kandydat musi wykazać się dobrym zdrowiem fizycznym i psychicznym oraz nieskazitelną moralnością. Wymagany wiek — 18 lat.

Obecnie coraz częściej zgłaszają się młodzi mężczyźni, mający za sobą rok lub więcej pracy świeckiej. Zdarza się, że po ukończeniu technikum podejmują pracę celowo, aby w trybie zaocznym przygotować się do egzaminów maturalnych i zdać je, ponieważ u nas wymagana jest matura.

● Takiemu komuś trudniej chy-

ba dostosować się do rytmu życia tutaj, do nauki i wyrzeczeń.

— Otóż nie. Przeważnie tacy właśnie seminarium kończą i dochodzą do święceń. Mówią, że nie znaleźli dla siebie nic ciekawego w pracy świeckiej. Niekiedy wspo-



Ks. Henryk Dworak: — *Bardzo ważne jest to, by człowiek od najwcześniejszych lat utrwał w sobie rzeczy dobre...*

Fot. ARCHIWUM

„Nie przyszedłem

minają o doznanych tam rozczarowaniach.

● Więc są księża, którzy, zanim zostali duchownymi, pracowali w innych zawodach?

— Są tacy. Ukończył nasze seminarium pewien nauczyciel, po dwunastu latach pracy. Kiedy wstępował na I rok, spotkał tu swych uczniów, którzy byli już na IV roku. Ukończył uczelnię i otrzymał święcenia pewien inżynier z kilkuletnim stażem pracy świeckiej.

Ks. Witold Andrzejewski z Gorzowa Wlkp., wychowanek naszego seminarium, później wykładowca, ukończył wcześniej wyższą szkołę aktorską i przez pewien okres grał w teatrze, w Gorzowie Wlkp.

● Proszę się nie gniewać, ale myślę, że każdy ksiądz jest po trosze aktorem. Zresztą są sytuacje, że wszyscy gramy, wszak ktoś to powiedział — że życie jest teatrem...

Jest nim też kościół — z jego bogatą zewnętrznością, ceremoniami, śpiewami, liturgią. Kapłan musi oddziaływać na uczestników i widzów, pobudzać ich, działać na ich wyobraźnię... Rola ta zmienia się, jak zmieniają się ludzie i warunki życia.

— Dlatego już na pierwszych semestrach młodzież rozpoznaje współczesne kierunki filozofii, socjologii, psychologii. Zagadnienia te powracają dość mocno na VI roku.

Barometrem, który najczulej ukazuje współczesne problemy i przemiany, jakim podlega człowiek — w tym, konkretnie, mieszkańiec Środkowego Nadodrza, jest socjologia religii. Industrializacja, urbanizacja, uwarunkowania kulturowe, patologie... Kapłan idzie do ludzi i rozpoczyna pracę wśród

nich, mając dokładne rozpoznanie środowiska.

● Widzę przypięty na drzwiach rozkład zajęć... Historia, historia filozofii, etyka, muzyka, śpiew, liturgia, antropologia, dogmatyka, teologia moralna, religio-logia, pedagogika, katechetyka, prawo kanoniczne, prawo wyznaniowe, stary testament, nowy testament, psychologia ogólna, psychologia pastoralna, homiletyka... Jest co „wkuwać”!

— Nauki te pozostają w pewnym porządku, w dwóch wydziałach: filozoficznym i teologicznym. Na sześć lat studiów składa się dwanaście semestrów. Pierwsze cztery semestry należą do filozofii, pozostałych osiem do teologii.

Na I, III i IV roku studiów jest język polski. Chodzi o ukazanie pierwiastka religii w literaturze

„żeby mi słuźono...”

polskiej i światowej, klasycznej i współczesnej, co potem może być kapłanowi pomocne w pracy katechetycznej i kaznodziejskiej. Np. gdy zdarzyło mi się kiedyś mówić o problemie winy, nasunął mi się bardzo trafny przykład z Dürerem.

● Czy ja dobrze widzę? Hebrajski! Przyszli księża uczą się hebrajskiego?

— Jest to jeden z trzech języ-

● Co wiąże się z „obowiązkiem brewiarza”?

— Codzienne jego czytanie.

● I po kilkunastu latach cały brewiarz zna się na pamięć.

— O nie. Jest to dzieło pokoleń. Bardzo obszerne i niezmiernie ciekawe, co dzień wynajduje się w nim coś nowego. Brewiarz jest publiczną modlitwą kościoła.

● Czy seminarium udziela urlopów dziekańskich, podobnie jak uczelnie świeckie, a jeśli tak, to czy wszyscy wracają?

— Są urlopy, są też praktyki studenckie w parafiach. A co do powrotów, to większość wraca i podejmuje przerwana naukę, po roku, nawet po dwóch latach.

● Zawsze myślałam, że ksiądz żyje w odosobnieniu, spokoju i nie ma zbyt wiele do roboty. Zmieniłam zdanie, gdy przyjrzałam się bliżej pracy księży w mojej parafii, z proboszczem na czele.

— Proboszcz jest jak ojciec wielkiej rodziny. Idą do niego nie tylko babce różańcowe i dzieci. A on musi być dyspozycyjny dla wszystkich. Chrystus rzekł: „Nie przyszedłem, żeby mi słuźono, ale żeby słuźyłem”. W tych słowach zawarta jest myśl, którą kościół wysuwa pod adresem władzy: żeby słuźyła ludziom, a nie wymagała, by słuźono jej.

tym kapłan pielęgnuje w sobie gorliwość apostołską, przez nieustanne zachowywanie czujności. Powiedziane jest w Piśmie świętym: „Bądźcie uważni, czuwajcie”. Ważny jest tu również osobisty rozwój religijny kapłana.

● Przed rokiem widziałam teatr paradyski i napisałam recenzję w „Nadodrze”, było to przedstawienie „Ślepców” Maetterlineka. Istnieje jeszcze ten teatr?

— Istnieje. Jest także chór, zespół muzyczny i schola, wykonująca pieśni po łacinie.

● Mówiliśmy o studentach — jest ich stu sześćdziesięciu. Nie wspomnieliśmy o wykładowcach.

— Stanowią grono trzydziestopięcioroosobowe. Połowa mieszka tutaj, połowa dojeżdża — z Lublina, Wrocławia, Gorzowa Wlkp., Kłodzka, Obry, Sulechowa, Gostynia i innych miast.

● Seminarium duchowne w tujejszym pejzażu. Przyszli księża — i okoliczni mieszkańcy. Jakie są wzajemne relacje?

— Bardzo przyjazne. Klerycy są stałymi gośćmi parafii Jordanowo i tamtejszego Domu Opieki. Mamy kontakty z zakładem odwykowym w Nowym Dworcu. Chodzimy z opłatkiem i kołędą. Prowadzimy katechizację, rekolekcje i duszpasterstwo charytatywne. Staramy się słuźyć, jak tylko możemy.

● Te budynki, drzewa, nastrój...

wielkiej ofiarności księży oraz mieszkańców całej diecezji gorzowskiej. Dzięki tej ofiarności w ogóle istniejemy, wyłącznie z datków.

● W książeczce poświęconej Paradyżowi, autor — ks. Gerard Dziel pisze: „Piękny zabytek, świadek długiej historii Ojczyzny, w pięknej oprawie zewnętrznej, stanowi nie tylko cel wycieczek, ale także i przede wszystkim doskonałe środowisko dla rozwoju osobowego alumnów i dla rozmiłowania się ich w religijnej i narodowej kulturze”.

Przy okazji chcę powiedzieć, że dr Grzegorz Chmielewski w swych kolejnych „Bibliografiach Ziemi Lubuskiej” wymienia nazwisko Księdza Rektora, jako autora artykułów publikowanych na łamach „Gorzowskich Wiadomości Kościelnych”. Pisał Ksiądz m.in. o święceniach kapłańskich w naszej diecezji oraz o „dniu otwartej bramy” w Gorzowskim Seminarium.

Ale oto mam przed sobą „Studia paradyskie” — dwa grube tomy materiałów naukowych różnych autorów, pod redakcją — ks. Henryka Dworaka.

— Pracuję teraz nad tomami III i IV. Właśnie otrzymałem wiadomość z Biblioteki Narodowej, że nasz tytuł został przyjęty do międzynarodowego systemu informacyjnego.

● Trafiałam na szczególny moment. Wczoraj Gorzowskie Wyższe Seminarium Duchowne przeżywało wielki dzień!

— Ks. biskup Michalik przedstawił naszej wspólnocie paradyskiej nowego biskupa — nominata. Jest nim ks. Edward Dajczak — ojciec duchowny naszego seminarium, a przed laty jego absolwent. To dla nas zaszczyt — i radość, tym większa, że ks. Dajczak pochodzi stąd: urodził się w Świebodzinie.

● Zawsze proszę moich rozmówców, by powiedzieli coś o sobie.

— Jestem Wielkopolaninem. Po ukończeniu Wyższego Seminarium w Gorzowie Wlkp., byłem wikarym w kościele Świętej Jadwigi w Zielonej Górze. Potem pracowałem w Zbąszynku, Szczecinie oraz w Gorzowie Wlkp. w Katedrze i Kurii Biskupiej. W latach 70-tych związałem się z Paradyżem jako wykładowca, potem wicerektor i od dziesięciu lat rektor. Doktorat robiłem z socjologii religii na KUL-u.

● Pięknie dziękuję za rozmowę i życzę Księdzu Rektorowi pomyślności w Nowym Roku.

— Dziennikarzom i Czytelnikom „Nadodrze” — szczęść Boże.

Rozmawiała HALINA ANSKA



„...Od 1952 roku systematycznie ratujemy fragment po fragmencie. Jest to możliwe dzięki wielkiej ofiarności księży oraz mieszkańców całej diecezji gorzowskiej”.
Fot. CZESŁAW ŁUNIEWICZ

ków starożytnych. Drugim jest grecki, trzecim łacina — jako język kościoła. Łaciny alumnów uczą się przez cztery lata. Dochodzi jeszcze obowiązkowo jeden z trzech języków nowożytnych: francuski, włoski lub niemiecki.

● Kiedy alumn otrzymuje pierwsze święcenia?

— Po V roku pisze pracę absolutoryjną i otrzymuje święcenia diakonatu. Z tą chwilą staje się duchownym — z obowiązkiem brewiarza, celibatu i posłuszeństwa wobec biskupa.

● Pomówmy o wrażliwości — na ból, krzywdy, prośby, nieszczęścia. Wrażliwość traci się z czasem. Traci ją np. chirurg — i dobrze, że tak się dzieje, w przeciwnym razie nie mógłby wykonać zabiegu, płacząc razem z pacjentem i rodziną. Myślę, że podobnie też, z biegiem czasu, zatracą swą ostrość uwrażliwienie księży, jako „lekarzy dusz”.

— Czynności, które człowiek wykonuje stale, starzeją się, szarzeją, obojętnieją. W związku z

Pochodzę z Jędrzejowa w województwie kieleckim, gdzie stoi klasztor starszy o sto lat od paradyskiego, będący do dziś siedzibą Cystersów. W jędrzejowskim klasztorze mieszkał kiedyś Wincenty Kadłubek. Smutno, gdy taki zabytek rozpada się na naszych oczach. Co robić?

— Apelować do społeczeństwa o pomoc i remontować! Od 1952 roku systematycznie ratujemy tutaj fragment po fragmencie. Jest to możliwe dzięki



KONSPIRACJA W OFLAGU

Oflag II C Woldenberg — dzisiejszy Dobiegniew był ośrodkiem aktywnego życia umysłowego zgromadzonych tu jeńców, intensywnego kształcenia się i rozwijania zainteresowań kulturalnych. Przebywało w obozie wielu światłych ludzi, o różnych orientacjach politycznych, lecz tutaj scementowanych wspólną niedolą. Aktywną walką o przetrwanie i umacnianie swej polskości. Nic więc dziwnego, że w latach powojennych poczęła się żywo rozwijać literatura wspomnieniowa oraz o charakterze popularno-naukowym, do kumentująca obozowe życie. Jako jedna z pierwszych książek poświęconych Oflagowi II C ukazała się publikacja Mariana Brandyśa pt. „Wyprawa do Oflagu” (1955), następnie — Józefa Bohatkiewicza „Oflag II C Woldenberg” (1971), Józefa Kuropieskiego „Obozowe refleksje. Oflag II C” (1974), Jana Olesika „Oflag II C Woldenberg” (1988). Ta ostatnia pozycja jest bogato udokumentowana zapisem wojennych dziejów i przeżyć Woldenberczyków oraz organizacji ich obozowej egzystencji. Pomijam tu liczne prace o charakterze wspomnieniowo-przyczynkarskim, rozproszone w dziełach zbiorowych oraz po czasopiśmie.

Natomiast najwęższą pozycją traktującą o jenieckiej konspiracji wojskowej w Oflagu II C Woldenberg jest książka Henryka Tomiczka i Mirona S. Zarudzkiego. Jest to temat stosunkowo mało znany i niezbyt dobrze zbadań, gdyż jego opracowanie dogłębne i pełne uniemożliwia brak odpowiedniej — ze względów zrozumiałych — spisanej dokumentacji. Autorzy musieli tedy przede wszystkim sięgnąć do własnych przeżyć oraz informacji, uzyskanych od współtowarzyszy, zamieszkałych po wojnie w różnych regionach kraju. A przecież warto przy okazji podkreślić, że Oflag II C Woldenberg był największym obozem jenieckim dla polskich oficerów na terenie III Rzeszy. Więc i działalność konspiracyjna prowadzona w nim nie mogła nie doczekać się swojej monografii. Choć, jak zaznaczają autorzy książki — ma charakter popularno-naukowy, to jednak nie pretenduje ona do rangi publikacji, w której wszystko zostało skrupulatnie opisane i opatrzone stosownym komentarzem. Dlatego też zapewne w części monograficznej publikacji autorzy zawarli uzupełnienia, wyjaśnienia autobiograficzne, głównie wynikające z ustnych bądź piśmiennych relacji uczestników jenieckiej konspiracji.

Po wstępie i ukazaniu specyfiki jenieckiej środowiska, po ujawnieniu łamania konwencji genewskiej przez Niemców oraz szczególnej sytuacji polskich podchorążych w niewoli Wehrmachtu, autorzy poszczególnie rozdziały swojej książki poświęcili elementom wojskowej konspiracji, dziennikowi obozowemu łączności z krajem poprzez tajną pocztę szyfry, oddziałom bojowym, działalności plutonu Radio, przygotowaniom obozu do ewentualnej ewakuacji, koncepcji samoobrony oraz przebiegu ewakuacji obozu. Książkę, wzbogaconą zdjęciami Woldenberczyków, zamykają posłowie, bibliografia, skorowidz nazwisk, spis ilustracji i szkiców. Solidna i rzetelna, w miarę możliwości dobrze udokumentowana kronika tej dziedziny obozowego życia, jest lekturą frapującą.

ZENON ŁUKASZEWICZ

Henryk Tomiczek, Miron S. Zarudzki: *Jeniecka konspiracja wojskowa w Oflagu II C. Woldenberg*. Wydawnictwo Poznańskie. Poznań 1989 r. Nakład 3 tys. egz. Cena zł 900.

Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, czy generał Władysław Sikorski był masonem. On sam miał się swego czasu wyrazić, że masonem nie jest, wierzy w Boga i czuje się chrześcijaninem.

Opinie o związkach Sikorskiego z masonerią są zróżnicowane. Michał Sokolnicki pisze, że Sikorski wraz z braćmi Aleksandrem i Zygmuntem Lisiewiczem „należeli do loży (we Lwowie — W.H.) nie związanej z masonskim ośrodkiem warszawskim. [...] był to jednak ós rodek prawdopodobnie odrębny od Wielkiego Wschodu [...] który swoimi niemi musiał się zająć o odnośne koła w Stronnictwie Konserwatystów Krakowskich”.

Również Władysław Studnicki pisząc o powiązaniach Sikorskiego z Postępową Democracją, reprezentowaną przez Aleksandra Lisiewicza (posła do Rady Państwa i Sejmu galicyjskiego) oraz Hipolita Sliwińskiego (posła do austriackiego parlamentu, działacza Związku Walki Czynnej, Związku Strzeleckiego, działacza PSL Wyzwolenie) podkreśla, iż „są pewne poszlaki, że grupa ta miała łączność z lożami masonskimi”. I dalej: „W 1909 r. przyjeżdżali postępowcy warszawscy w odwiedziny do postępowców lwowskich i mówiono o

CZY SIKORSKI BYŁ MASONEM?

łączności organizacyjnej między nimi”. Jednym z czołowych organizatorów loży we Lwowie był wybitny działacz ludowy w Galicji, autor programu PSL, Bolesław Wyslouch.

Po odwołaniu w 1928 r. Sikorskiego ze Lwo wa udał się on prywatnie do Paryża. Towarzyszył mu Konrad Olchowicz. Po drodze obaj zatrzymali się w Kolonii, by obejrzeć otwartą tam właśnie międzynarodową wystawę prasy. Zwiedzili także słynną katedrę gotycką. Po wyjściu z tej zabytkowej świątyni, Sikorski chwycił Olchowicza za ramiona i powiedział: — Niech pan przyzna, że w naszych licznych rozmowach jest jedno niedopowiedziane, a mianowicie mój stosunek do Kościoła i do religii w ogóle. I nie czekając na odpowiedź Olchowicza dodał z uśmiechem: — Masonem nie jestem.

W dalszej rozmowie z Olchowiczem, Sikorski zwierzył się, że kiedy był szefem departamentu wojskowego NKN w Piotrkowie otrzymał propozycję wstąpienia do loży ze strony znanego neurologa dra Rafała Radziwiłłowicza oraz wiceprezidenta Warszawy Chmielewskiego. Odrzucił wówczas tę propozycję nie tyle z uwagi na światopogląd, ile w przekonaniu, że wojskowy nie powinien być uzależniony od instycji podległych ściśle czynnikom zagranicznym.

Sikorski powołał się również na rozmowę, jaką odbył z księdzem Lutosławskim, posłem z ramienia Stronnictwa Narodowego, który ós wiadczył wówczas Sikorskiemu, że mógłby uzyskać polityczne poparcie endecji, gdyby nie fakt, iż jest uznawany za masona. General miał wówczas zażartować:

— Otóż muszę się księdzu posłowi przyznać, że należę do tej samej loży, co wasz Roman Dmowski.

Sikorski dobrze wiedział, że w kołach endeckich za masona był uważany. Narodowcy ten pogląd gorliwie propagowali.

Na przełomie lat 1939—40 do Francji przybyła wraz z armią i rządem polskim liczna grupa masonów — członków Wielkiej Loży Narodowej Polski. Działała ona w Paryżu pod auspicjami Wielkiej Loży Francji pod tradycyjną nazwą „Kopernik”. Przewodniczył jej pracom późniejszy premier rządu polskiego na emigracji Tadeusz Tomaszewski Według opinii masona Stefana Łaniewskiego w pracach Wielkiej Loży Narodowej Polski brało czynny udział wielu polskich wolnomularzy, głównie

wojskowych, których los rzucił wtedy do Francji. Inicjowano w niej kilkunastu nowych braci. Loża zawiesiła swe prace latem 1940 roku.

A. Romer sugeruje wręcz, że Sikorskiego chcieli zniszczyć różni „podli masoni”. Natomiast Tadeusz Katelbach twierdzi, że i Sikorski był związany z masonerią innego obrzędu niż „ryt szkocki, a nawet uznał „Straznicę” za przejaw działalności masonskiej”, co nie jest prawdziwe. Katelbach zauważa, że walcząc przeciwko Piłsudskiemu nie mógł Sikorski szukać sprzymierzeńców wśród masonów rytu szkockiego, którzy pozostawali wierni Piłsudskiemu, wobec czego zorientował się na francuską lożę Grand Orient, która przed wojną stanowiła najbardziej wpływową odłam międzynarodówki masonskiej w Europie.

Dlaczego więc Władysław Sikorski miał rzekomo utrzymywać masonskie związki z lożą Grand Orient, której siedziba mieściła się w Paryżu przy ulicy Cadet? Tadeusz Katelbach twierdzi: „Trudno sobie wyobrazić choć i tego wykluczyć nie można, by szukał dla siebie oparcia w innych ściągających się ze sobą odłamach masonerii francuskiej. Nie szukał go chyba ani przed wojną, ani we francuskim okresie emigracyjnym w oficjalnie deistycznej Narodowej Wielkiej Loży (Grand

Loge de France) rytu szkockiego z rue Puteaux, opiekującej się szkocką Wielką Narodową Lożą Polski, grupującą w swych szeregach tylu jego pracowników politycznych”.

Po przybyciu do Anglii, zdaniem Katelbacha, Sikorski miał utracić kontakty z przychylną mu lożą w Paryżu. Mocniejszą pozycję w Londynie zdobyli jego przeciwnicy polityczni. Adam Romer twierdzi, że „już wtedy Raczkiewicz był całkowicie w rękach obecnych w Londynie braci Wielkiej Narodowej Loży Polski”. W poufnym raporcie — jaki złożył później Sikorskiemu A. Romer — jako członkowie loży w Londynie zostali wymienieni m.in. J. Łukasiewicz, A. Zaleski, T. Tomaszewski, W. Neumann, Z. Zagórski, A. Pragier, J. Kunczewicz, K. Poznański, A. Tarowski i T. Filipowicz.

Także w Londynie doszło do wznowienia dawnej konspiracji masonsko-peowiackiej. Z jej ramienia, z ramienia A. Romera, wzięli udział Naczelny Wódz i August Zaleski i gen. Kazimierz Sosnkowski. A. Romer pisze, że „Loża zaraz po przybyciu Rządu do Londynu starała się pozyskać dla swoich planów wpływowość koła angielskie. Niektórzy wierzyli w legendę jakoby dni Churchilla były policzone i jakoby polityka opierania sprawy polskiej przez Generała głównie na przyjaźni z Churchillem skazana była na bankructwo. Zdawało im się, że następnym prezydentem rządu brytyjskiego będzie liberal, a wśród liberalów angielskich bracia nasi liczyli na pomoc, głównie dzięki kontaktom masonskim”.

A jak ocenia wpływy masonów w życiu politycznym emigracji polskiej w Londynie zna wca zagadnienia Olgięder Terlecki? Otóż pisze on w swej książce o generale W. Sikorskim: „Nie ulega jednak wątpliwości, że tłumaczenie grą konkurujących loż konfliktu Sikorskiego z jednej, Raczkiewicza zaś i Zaleskiego z drugiej strony byłoby naiwnym uproszczeniem. Przynależność do loży, takiej czy innej, mogła tylko otwierać drogę do pewnych osób, tak jak otwiera ją przynależność do określonej grupy towarzyskiej. Nie było oczywiście żadnej czarnej mafii masonskiej, rodem z romansów dobrego pana Dumasa, która przy pomocy Raczkiewicza usiłowała zniszczyć polskiego premiera”.

Jednakże Sikorski miał wielu wrogów politycznych którzy nie życzyli mu jako premierowi niczego dobrego.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

Ten „mecz na papierze” rozegramy dziś na boisku siatkarskim. Piękny to sport, który też w lubuskim regionie ma duże tradycje. Dziś tych sukcesów jakby trochę mniej, ale kiedyś...

Na Ziemi Lubuskiej siatkówka po jawiła się po wojnie, a jej główni propagatorzy to nauczyciele. Był taki okres, i to sięgający prawie lat 70-tych, że w szkołach niemal zakazana była piłka nożna, natomiast sami nauczyciele chętnie wpajali uczniom i uczniom tajniki gry w siatkówkę, tudzież w piłkę ręczną czy koszykówkę (wszędzie uprawiana też była lekka atletyka). Nic zatem dziwnego, że stosunkowo wcześnie lubuski sport zaczął notować spore sukcesy tej dyscypliny. Zwłaszcza zespoły szkolne i z roku na rok reprezentowały coraz wyższy poziom. Potem najzdolniejsi wychowankowie drużyn szkolnych (a było ich bardzo wielu) stanowili trzon seniorskich zespołów klubowych.

W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych siatkówka znakomicie rozwinęła się w Gorzowie. Do nadwarciańskiego grodu trafiło po wojnie kilku świetnych trenerów, w większości nauczycieli, dzięki czemu sport ten stał się bardzo popularny wśród młodzieży. Do tego jeszcze z siatkówki (choć nie tylko) słynęło gorzowskie Studium Nauczycielskie. W pewnym okresie w mieście było kilka równorzędnych, bardzo dobrych zespołów siatkarskich (m.in. Unia, Warta, Admira, Sokół, Stal).

Ukoronowaniem był awans męskiego zespołu Stilonu (wówczas Unii) w 1961 roku do I ligi. Z tym awansem związanych jest wiele anegdot. Przede wszystkim samo zakwalifikowanie się drużyny do turnieju barażowego o miejsce w ekstraklasie było wielkim zaskoczeniem dla działaczy klubowych. Jak by mało tego, ambitni siatkarze postawili kropkę nad „i” i... I liga stała się

zawodników. Nic więc dziwnego, że po roku gorzowianie powrócili do do II ligi.

W tym okresie dynamicznie rozwijała się też siatkówka w Zielonej Górze. Odbywało się to zresztą w podobny sposób, jak w Gorzowie. Też głównie za sprawą nauczycieli i też z udziałem reprezentantów Studium Nauczycielskiego. Przez kilka sezonów w II lidze z powodzeniem grał zespół Gwardii, a i pozostałe kluby zielonogórskie posiadały dobre drużyny siatkarek i siatkarzy. I jeszcze jedna ciekawostka. Przy okazji koszykówki wspomnieliśmy o przyczynie z basketem red. Mieczysław

Sulechów seriami zaczęły zdobywać laury regionalne i krajowe. Wtedy też w lubuskich sekcjach pojawiło się wiele utalentowanych dziewcząt, z których kilka zrobiło dużą karierę.

Warto parę zdań poświęcić sulechowskiemu fenomenowi siatkarskiemu. Dziś jest to już co prawda tylko wspomnienie. Niewątpliwym twórcą sukcesów Zawiszy Sulechów był Stanisław Skowroński, wówczas nauczyciel sulechowskiego Studium Nauczycielskiego. Wraz z uczennicą początkowo bawił się w siatkówkę, ale szybko przyszyły świetne wyniki. Po paru latach drużyna SM, występująca pod nazwą MKS Zawisza Sulechów, wywalczyła awans do II ligi i wtedy nastąpił mariaż z pionem LZS. Tak się szczęśliwie zło

kówki zapisało się sporo sekcji. W Gorzowie, poza stolicą województwa, Międzyrzecz (ostatnio odrodzenie drużyny męskiej w tym mieście, tylko czy pieniądze będzie tyle, ile jest zapalu...?), Sulęcín (kilka dobrych sezonów WZGS, a potem Olimpia w III lidze, obecnie tylko wspomnienie), a także Stubice, Strzelce, Słońsk, Baczyna. W latach siedemdziesiątych także w Choszcznie była obiecująca drużyna siatkarek, ale umarła śmiercią naturalną.

Z kolei w Zielonogórskim, poza Winnym Grodem i wspomnianymi Zarami i Sulechowem, sporą rolę w różnych okresach odgrywały drużyny siatkarskie w Swiebodzinie, Nowej Soli, Głogowie (obecnie woj. legnickie, a męski zespół w II lidze), Gubinie, Gozdniczy, Zbąszynku, Zaganii. Mocna sekcja siatkarzy w latach sześćdziesiątych istniała w Wolsztynie (Skra). Zespół ocierał się o II ligę, a w dorobku miał medal mistrzostw Polski LZS. To już w większości przypadków tylko historia...

Jak wspomnieliśmy, największy udział w rozwoju siatkówki na Ziemi Lubuskiej miała liczna grupa utalentowanych trenerów. Niewątpliwie do najbardziej zasłużonych, oprócz już tu wymienionych, zaliczyć można Władysława Kosowicza, Ryszarda Świątkiewicza, Jerzego Niewiadomskiego, Alberta Zurawskiego, Stanisława Kurysia, Stefana Świątkowskiego, Jerzego Polczyńskiego. Wychowało się tutaj również wiele znakomitości, w tym reprezentanci Polski — m.in. Elżbieta Ciaszkiewicz, Bożena Kuźmicka-Waloch, Ewa Kuźmicka-Bučko, Marek Cieszkiewicz, Ireneusz Klos, Roman Borówko. Region miał i ma sędziów siatkówki klasy państwowej. W I lidze sędziowali lub sędziują m.in. Adolf Hawełka, Tomasz Molodczak, Józef Matuszewski, Józef Salek czy Zbigniew Borezyński.

Pora na wynik w naszym „papierowym meczu”. Tym razem przewagę uzyskał Gorzów. Województwo to posiada zespół w II lidze siatkarskiej. Inna sprawa, że jest to poniżej oczekiwań, bo jeszcze przed dwoma sezonami drużyna Stilonu grała w ekstraklasie i wydawało się, że przy znakomitym składzie, jakim dysponowała, zadomowi się tam na dłużej. Tak się nie stało, ale wiernym kibicom pozostały niezapomniane wspomnienia z I-ligowych meczów gorzowian ze Stalą Rzeszów, Hutnikiem Kraków, Legią Warszawa, czy Stalą Stocznia Szczecin. Odszedł z klubu reprezentant Polski — Witold Roman, ale ci, którzy pozostali, też po trafiać grać. W reprezentacjach różnych grup wiekowych występują przecież: Marcin Zarzycki (ostatnio kontuzjowany) Roman Bartuzi i Maciej Nowak. Mimo, że Stilon nie gra tak, jak mogłoby i jak chcą jego sympatycy, fakt iż gra w II lidze przesądza wynik meczu na korzyść Gorzowa. Pozostają już obu województwom tylko zespoły III-ligowe. W rozgrywkach męskich w tej klasie woj. zielonogórskie reprezentuje tylko AZS WSP Zielona Góra, podczas gdy jeszcze nie tak dawno w III lidze grali także siatkarze Tran sportowca Swiebodzin, Dozamet No wa Sól czy Oriona Sulechów. Z kolei w III lidze żeńskiej „klepka bieda” siatkarze Zawiszy Sulechów i Promienia Żary. Z drużyn woj. gorzowskiego w III lidze występują obecnie tylko siatkarze Orła Międzyrzecz.

Końcowy wynik meczu siatkówki jest minimalnie korzystny dla Gorzowa. Zatem w naszej zabawie, po dotąd rozegranych „papierowych meczach” prowadzenie obejmuje Gorzów. Przynajmniej, że poprzednio w meczu Gorzów — Zielona Góra „nadły następujące wyniki” — w zuzłtu 1:1, w piłce nożnej 1:0, w koszykówce 0:1 a w kolarstwie 1:1. Dziś 1:0, a zatem obecnie wyniki brzmi 4:3 dla Gorzowa...

Po dwóch stronach siatki

wa Wiećkowicza z „GL”. Z kolei jego starszy kolega — red. Roman Siuda przez jakiś czas uprawiał ten sport, a potem był (choć krótko) trenerem siatkarzy Zastalu. Red. Siu-

żyło, że niemal równoległe szkoleniem młodzieżki siatkarek zajmował się w Szkole Podstawowej nr 1 inny zdolny nauczyciel i trener — Damian Przybylski. Drużyna tej szkoły rok po roku zdobywała mistrzostwo okręgu młodzieżki, a potem prawie w całości przeszły do Zawiszy. W sulechowskiej „jedynce” rozpoczęła przygodę z siatkówką m.in. Janina Laskowska, Ewa Cieslak, Bożena i Ewa Kuźmicka, Elżbieta Modrzyk i inne.

W latach siedemdziesiątych, ku zdumieniu fachowców, Zawisza z małego Sulechowa awansowała do I ligi! Mało tego, sulechowskie siatkarce zdobyły również Puchar Polski. Grały w I lidze ze zmiennym powodzeniem, ale przez wiele sezonów utrzymywały się w tej klasie i były dumą całego miasta. Podczas meczów sala sportowa LO była przepełniona.

Niestety, czasy się zmieniły i drużyna Zawiszy opuściła ekstraklasę, a ostatnio także II ligę. Wypisz — wymaluj, losy całkiem podobne do dziejów koszykówki żeńskiej w Szprotawie. Dziś, gdy rządzi wszechwładny pieniąż, drużyny z małych i ubogich klubów nie mają szans w rywalizacji z potentatami. Nawet posiadając naprawdę uzdolnione zawodniczki czy zawodników...

W pewnym okresie, na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, jak efemeryda w II lidze pojawiła się drużyna siatkarek AZS-u Gorzów. Po roku zespół spadł o klasę niżej, a obecnie już nie istnieje. Znaczącym efektem gry w II lidze był tylko ślub kierownika drużyny z jedną z wyróżniających się siatkarek...

Ostatnimi czasy na nadmiar siatkarskich sukcesów lubuskich klubów narzekać nie można. Talentów z pewnością nadal nie brakuje, ale wspomniane już twarde uwarunkowania ekonomiczne nie pozwalają na rozwój siatkówki w wydaniu wyczynowym. To głównie nie pozwoliło na awans do II ligi Promienia Żary, gdzie na trwałe zapisał się ofiarą pracą trener Walter Nowak. Podobnie było w przypadku innych klubów.

Biorąc pod uwagę dzisiejszy podział terytorialny, w dziejach siat-



Fot. TOMASZ GAWALKIEWICZ

faktem. Wracali uradowani do Gorzowa (pociągami...), gdy na dworcu kolejowym powitał ich przedstawiciel klubu: „Panowie, co wyście narobili!” Kłopot rzeczywiście sprawili nie mieli. W klubowej kasie nie przelewało się, a na dobitkę w Gorzowie nie było hali, w której można by było rozgrywać I-ligowe mecze. Swoje spotkania w roli gospodarzy rozgrywali więc siatkarze Stilonu w... Zielonej Górze. Na dłuższą metę było to ponad siły klubu

da ma prawo uważać się za znawcę tej gry. W warszawskiej AWF obronił pracę na temat siatkówki, a także zdobył uprawnień trenerskie.

W latach sześćdziesiątych coraz widoczniejsze na boiskach siatkarskich stały się panie, głównie juniorki (wcześniej niemal całkowicie siatkówka była opanowana przez mężczyzn). Rozpoczął się złoty okres. Reprezentantki woj. zielonogórskie oraz Znicza Gorzów i Zawiszy

Kiedy w Krakowie miało powstać pierwsze w Polsce hospicjum, okoliczni mieszkańcy zjednoczyli się w głośnych protestach. Opisujący wydarzenie dziennikarz nazwał ich „ludźmi małego serca”, choć właściwszy byłby zarzut braku wyobraźni.

Prof. Magdalena Sokołowska pisze: „W średniowieczu, kiedy życie ludzkie w Europie trwało prze-

stało się powszechne. Prof. Tadeusz Kielanowski nazywa takie postawy „zmową milczenia”

Wynikają one i ze strachu przed śmiercią, i z powszechnej niewiedzy. U nas. Bo na świecie (a zwłaszcza w USA) opublikowano setki badań naukowych, prac popularnonaukowych i poradników poświęconych świadomości umierania, jego „społecznej orga-

miczne metody leczenia muszą za wieść. Pozostaje wtedy obowiązek i wielka sztuka szczerzej rozmowy z człowiekiem, który wkrótce ma umrzeć, sztuka, w której lekarze dawniejszych epok, nie dysponujący jeszcze antybiotykami i aparaturą elektroniczną, byli mistrzami, ale która w ostatnich dziesięcioleciach nie była ani nauczana, ani kultywowana. Zwyczaj ukrywania przed chorą prawdą odbiera w praktyce możliwość korzystania z przysługującego mu prawa stanowienia o swoim losie (...). Mówienie chorą prawdą nie jest na pewno sprzeczne z naszym pocieszaniem ich, bo prawda lekarska nie jest kategorią, ślad nadziei istnieje, zawsze. Natomiast ukrywanie przed chorą prawdą przyczyniło się do utraty zaufania do lekarzy”

umierają, przeżywają pięć etapów odchodzenia.

Pierwszy to zaprzeczenie i izolacja. „To nie mogę być ja”, sądzą, ponieważ własna śmierć jest nie do pojęcia. Potem przychodzi złość na cały świat — otoczenie, lekarzy, pielęgniarki, rodzinę. To skutek urazu, zazdrości wobec tych, którzy będą mogli żyć. Trzeci etap to negocjacje z lekarzami, przeróżnymi fundacjami dobroczynnymi, a nawet Bogiem. Chorzy przyrzekają sobie np., że już nigdy nie powiedzą złego słowa źle dotychczas traktowanej żonie, oddadzą ciało do naukowych eksperymentów, będą się modlić dwa razy dziennie... Kiedy pacjent nie może już zaprzeczyć, że jest chory i staje się coraz słabszy, nadchodzi depresja, poczucie wielkiej straty. Aż wreszcie na końcu rodzi się akceptacja, coś w rodzaju spokoju, wyłączenie się z otaczających spraw. Psychiatrzy twierdzą, że na tym etapie większej pomocy i zrozumienia, potrzebuje rodzina niż sam pacjent.

Zanim odejdą

ciętnie ok. 30 lat, śmierć była wszechobecna i nagłe zabijała ludzi z głównego nurtu życia. Obecnie, kiedy życie ludzkie trwa przeciętnie ponad 70 lat, śmierć dotyka osoby bardziej już odseparowane od szerszego społeczeństwa. Przy tym coraz częściej umierają one wskutek choroby przewlekłej, która — bez względu na wiek — zmniejsza ich „widzialność” w społeczeństwie (zwłaszcza że przebywają wtedy przeważnie w szpitalu). I dlatego śmierć stała się odleglejsza”

Niemniej co dziesiąty spośród nas zetknął się lub zetknie w tym roku z odejściem kogoś bliskiego. Można bowiem założyć, że każdy z 350 tys. umierających ma co najmniej dziesięciu członków rodziny, przyjaciół, sąsiadów. Zazwyczaj zszokowanych i bezradnych. Współczesna medycyna stawiona głównie na unikanie śmierci traktuje ją jako „błąd w sztuce”, i to wstydlive podejście

rozważa” oraz odchodzącemu pacjentowi. Często zwracają oni uwagę na zjawiska dotychczas niedostrzegane. Oto np. Amerykanie odkryli, że okres między postawieniem diagnozy a zgonem pacjenta cierpiącego na nieuleczalną chorobę, trwa przeciętnie 29 miesięcy.

A to znaczy, że pacjent, jego rodzina, lekarze, przeżywają trudny okres. Jak mają się zachowywać, żeby nie pogłębiać cierpienia i depresji chorego? Jak rozmawiać między sobą? Szczerze czy raczej nie?

Okazuje się, że lekarze są teraz bardziej skłonni do szczerości. Np. w 1961 r. aż 90 proc. ankietowanych lekarzy ukryłoby przed chorą na raka prawdziwą diagnozę, zaś w dwadzieścia lat później — 97 proc. głosowało za szczerością. Prof. Kielanowski twierdzi, że: „Zawsze nadchodzi moment, w którym fizykoche-

Zaufania tego nie można odbudować we współczesnych szpitalach nastawionych na leczenie chorób ostrych. Kiedy zawodzą wszystkie wysiłki skierowane na utrzymanie chorego przy życiu lekarze i pielęgniarki przechodzą do innych zajęć, albo wypisują pacjenta do domu. Nie potrafią inaczej, a przepełnione 10-20 osobowe sale nie zapewniają odciszczenia ani ciszy, ani intymności. Litościwe ustawianie parawanów niczego tu nie zmienia.

Tę obojętność odczuwają także bliscy pacjenta, którzy bardzo często muszą dostosowywać się do sztywnych godzin odwiedzin, mają problemy z odnalezieniem kompetentnego lekarza itd. Zaskakują ich także zmienne nastroje chorego, na które nie potrafią reagować. Być może, pomogłoby im wnioski z badań 200 chorych na raka, jakie przeprowadziła w USA E. Kuebler-Ross. Twierdzi ona, że ludzie, którzy wiedzą, że

Bliscy bowiem uczestniczą w przedłużających się cierpieniach chorego, jego depresji, gorączkowych poszukiwaniach znachorów. Nieuleczalna choroba prowadzi do zaburzeń w całej rodzinie, która nie może już żyć tak jak poprzednio, tkwi jak gdyby w stanie „zawieszenia”, udając, że w gruncie rzeczy nic się nie stało. Niemalże zmieniając zyczliwość otoczenia — choć chętnie pomagają we wszystkich życiowych sprawach — poświęcają wiele czasu, energii i środków na zdobywanie leków, sprzątają, załatwiają sprawy urzędowe. Czyli tak jak umiemy wyrażają sympatię i chęć niesienia pomocy.

BARBARA ŻMIJEWSKA

Recepta na szczęście

Czy związek małżeński (lub pozamałżeński), w którym kobieta jest starsza od mężczyzny — a nie odwrotnie — ma szansę na trwałość? Pytanie to stawiają sobie nie tylko rodziny osób uwikłanych w taki „nietypowy”, bo naruszający stereotypy związek, ale i socjologowie. Trend jest zresztą wyraźny: coraz więcej kobiet wychodzi za mąż lub wiąże się z mężczyznami młodszymi od siebie, i to często znacznie.

Zdaniem niektórych badaczy jest to zjawisko nieuchronne, choćby z uwagi na dłuższą średnią życia kobiet niż mężczyzn. No bo skąd niby mają brać partnerów, jak nie z niższych klas wiekowych? W RFN dotyczy to już dziś 17 proc. wszystkich małżeństw, wobec 13 proc. przed dziesięcioma laty. W przypadku tzw. związków nieformalnych wskaźnik ten jest jeszcze wyższy, i to we wszystkich (z wyjątkiem Japonii i Włoch) krajach wysoko rozwiniętych. Przykładów, zwłaszcza w sferach artystycznych, jest bez liku. Począwszy od gwiazdy rocka Tiny Turner (ma męża młodszego o 17 lat) poprzez Liz Taylor (tworzy obecnie parę z młodszym o równe 20 lat Carry Fortenskim), a skończywszy na aktorce Ursuli Andress, rekordziste w tej „dyscyplinie” gdyż jej towarzysz życia jest młodszym o równe 30 lat.

Pary mniej prominentne — stwierdza w swej pracy „Kochać młodszego mężczyznę” wiedeński socjolog U. Richter — nie afiszują

się na ogół ową różnicą wieku na niekorzyść kobiety, choć i wśród warstw mniej zamożnych głową rodziny nierzadko bywa żona starsza od męża.

Co — poza czynnikami biologicznymi — wpływa na upowszechnienie się modelu „starsza kobieta — młodszy mężczyzna”? Wedle Ursuli Richter przede wszystkim rosnąca liczba niepowodzeń małżeństw tradycyjnych i fakt, że dojrzała kobieta wychodząca za młodszego mężczyznę wnosi do wspólnego związku wiedzę, doświadczenie i autorytet, które znakomicie „współgrają” z aktywnością i otwartością na świat młodszego partnera. Jest to tym istotniejsze — dodaje — że większość kobiet wiążących się z młodym mężczyzną, to ofiary rozbitych małżeństw, które nie były w stanie znieść dłużej tyranii i humorów „pana i władcy”, zazdrośnego o każdy sukces zawodowy żony, jej często wyższy status społeczny i wyższe zarobki.

W przeciwieństwie do nich młodszy partnerzy życiowi, wnosząc do małżeństwa wiele radości, uważają wyższą pozycję żony w hierarchii społecznej raczej za okoliczność frapującą i godną podziwu. Związek taki — zdaniem psychoanalitka zachodniemieckiego H.I. Vogla — stanowi rodzaj „wzajemnie uzupełniającej się wspólnoty interesów, pozwalającej obu partnerom na zrekompensowanie różnych deficytów w ich dotychczasowym

życiu”. Związki te są przy tym zadziwiająco trwałe. Bierze się to podobno stąd, że w przypadku partnerów, których dzieli znaczna różnica wieku, ewentualne konflikty i kryzysy (inaczej niż w pożyciu bardzo młodych małżeństw) występują z reguły na samym początku, dzięki czemu — gdy zostają przezwyciężone — ich związek staje się znacznie trwalszy niż niejedno małżeństwo równoletków.

Nie oznacza to jednak, by droga związku kobiety starszej od mężczyzny była usłana samymi różami. „Od czasu gdy Edith Piaf poślubiła w 1962 r. młodszego od siebie o całe 20 lat, co uznano za prawdziwy skandal — pisze U. Richter — sytuacja niewiele się zmieniła”. Upředzenia są nadal silne i trzeba wciąż nie lada odwagi, by zdołać się na taki krok. „Czyś ty na głowę upadła? Jak my teraz wyglądamy wobec rodziny i sąsiadów?” — to najczęstsze reakcje otoczenia. Małżeństwo kobiety dojrzałej z młodym mężczyzną (odwrotnie niż starszego pana z młodą dziewczyną) wywołuje wśród znajomych złośliwe uwagi, a niekiedy zgoła bojkot towarzyski. Z kolei rodzice córki starszej od swego narzeczonego lub męża rumienią się, jaki też błąd popełnili w wychowywaniu dziecka, że „do tego doszło”.

Lecz nie tylko reakcje otoczenia, także zakotwiczone w psychice kobiety tzw. cenzor wewnętrzny, stanowią często mur nie do przebicia. Pomijając inne względy — stwierdza autorka książki „Kochać młodszego mężczyznę” — większość kobiet nie potrafi sobie nawet wyobrazić, by, będąc 80-letnią zgrzybiałą staruszką, mogła liczyć na opiekę ze strony 50-letniego męża czy kochanka w sile wieku...

KAMIL DALECKI

Na pytanie to, zawierające w sobie stwierdzenie, które rani niejedno kobiece serce, jest sześć odpowiedzi.

1. Ponieważ każdy mężczyzna lubi zmiany, a w dodatku przeciętnie co osiem minut przemyka mu przez głowę myśl o seksie — i nic na to nie poradzi.

2. Mężczyzna przez całe życie szuka ideału, a ponieważ ideał nie istnieje, czyni coraz to nowe próby i w ten sposób „zalicza” kolejne przygody z paniami.

3. Jak można być wiernym, gdy nagle spotyka się atrakcyjną kobietę, miłą, uśmiechniętą i najwyraźniej chętną?

4. Męska niewierność jest przez mężczyzn podziwiana, natomiast mężczyznę wiernego nawet kobiety przezywają od „pantoflarzy”.

5. Mężczyzna przechodzi okresy, w których nasila się w nim aktywność hormonów, nazywa się to „hyperseksualizmem”.

6. Trudno w to uwierzyć kobiecie, ale tak jest: mężczyzna kochając jedną kobietę, może ją zdradzać z pięcioma innymi, nie naruszając w sobie tej jednej, wielkiej miłości.

Za najbardziej niebezpieczny wiek dla mężczyzny uważano dawniej okres między 30, a 40 rokiem życia. Teraz czas ten przesunął się do pięćdziesiątki. Statystyka jednak mówi, że najwięcej afer miłosnych miewają panowie w wieku między 37, a 39 rokiem życia, natomiast najłatwiej ulegają pokusom w czterem nastym roku małżeństwa.

Wszelkie kontakty z paniami „na boku” wymagają pieniędzy. Stąd pytanie: czy niewierny mężczyzna z reguły bywa dobrze sytuowany finansowo? Okazuje się, że raczej tak. Procent niewiernych-bogaty, jest znacznie wyższy, niż niewiernych-niezamożnych. Stąd wniosek, że pieniądze stwarzają okazję do zdrady.

W RFN, gdzie panuje moda na przeróżne ankiety, ogłoszono wyniki badań, którym poddano stu panów, posiadających staż małżeński dłuższy, niż dwa lata. W grupie tej 72 przyznało, że co najmniej raz zdradziło swe żony.

Problem zdrady męskiej występuje nie tylko w małżeństwach. Co trzeci mężczyzna żyjący w wolnym związku z kobietą, zdradza ją z innymi. Połowa spośród stu takich panów zdradziło swe przyjaciółki od dwóch do pięciu razy, już w ciągu trzech pierwszych lat pożycia.

Jak poznać po mężczyźnie, że zdradza? Pewna pani opowiada:

— Przeszedł ze mną rozmawiać. Zachowywał się tak, jakby nosił w sobie tajemnicę, do której nie mogę być dopuszczona. Został w pokoju sam, udawał, że czyta. Odwracał się i szybko za sypiał — albo udawał, że śpi, zaś rano tłumaczył się zmęczeniem. Wyczułam, że jest zakochany w innej...

Są mężczyźni, którzy w takich przypadkach stają się miłsi dla żony, bardziej rozmowni, troskliwi. Przynoszą kwiaty, choć dotychczas nie przynosił. Z oschłych i mało już wrażliwych, zamieniają się w czułych partnerów, demonstrowujących małżeńskie szczęście. Takie zachowanie można wytłumaczyć poczuciem winy i chęcią zadośćuczynienia żonie, za

zdradę. Także obawą, by sprawa się nie wydała.

Jeszcze inni nagle zaczynają intensywnie zajmować się dziećmi, choć przedtem rzadko zadawali sobie ten trud.

— Pewnego dnia zastanowiło mnie zachowanie męża — mówi pani lat 40 — przypominałam sobie, że od dłuższego czasu niemal co wieczór wychodzi z domu. Często dzwoni, że coś nadzwyczajnego się zdarzyło w związku z czym ma dodatkowe zajęcia. Do późna przesiaduje na jakichś konferencjach, a jego wyjazdy służbowe trwają dłużej, niż zazwyczaj. Zapytałam, co to wszystko znaczy? Odpowiedział wykrętnie, że jednego razu spotkał kolegę z wojska, kiedyś znów

Bardzo często mężczyzna, który zdradza żonę, zaczyna troszczyć się o swój wygląd. Ma ochotę na nowe ubranie. Zmienia fryzurę — podobnie, jak to czynią kobiety. Używa intensywnie pachnących wód. Zbija nadwagę. Zmienia okulary na nowe, w modnych oprawkach. Żona, która przeżyła z takim panem kilka lat, łatwo wyciągnie wniosek, że nie dla niej ta przemiana.

Także pewne zachowania seksualne są symptomami niewierności. Bywa tak, że mąż, który nigdy przedtem nie miał kłopotów w łóżku, nagle zaczyna mieć impotencję. Próbuje uzasadnić to, np. bólem głowy, przemęczeniem, albo zaistniałym nieoczekiwanym problemem — w pracy, rodzinie, domu.

Może zdarzyć się coś odwrotne go: że mąż przemienia się w ak

Oczywiście czekają, aż żona zasnie, żeby uniknąć okazji do zbliżenia.

Podejrzane są obce zapachy, których ślad wyczuje uważna żona, na ubraniu, włosach i ciele męża. Daje do myślenia również mąż, który po całym dniu, czasem późnym wieczorem, wraca do domu odświeżony i pachnący własną wodą toaletową. Świadczy to, że umył się i odświeżył, aby zlikwidować ślady po zdradzie.

Klasycznym dowodem dla żony podejrzewającej męża o zdradę jest rachunek z restauracji, list, kartka z numerem telefonu lub szminka na kołnierzyku.

— Zadzwoń później — mówi mąż i kładzie słuchawkę. Po tem wędruje z aparatem po domu i prowadzi rozmowy ścisłym głosem. Czasem odbiera telefon i mówi „pomyłka” Tych „pomyłek” jest coraz więcej. I coraz częściej żona, wchodząc do mieszkania, zastaje męża przy telefonie. Są to niewątpliwie oznaki, że małżeństwo zamienia się w trójkąt.

Mąż zaangażowany w romans z inną kobietą, chętnie proponuje żonie oddzielne spędzenie urlopu.

— Wypocznij — mówi, po czym dodaje, że dzieci najlepiej czują się przy matce. Zresztą można je oddać na ten czas dziadkom. Jemu też się coś należy. On — też potrzebuje wypoczynku.

Zmięta pościel ze śladami, co się w tym łóżku działo — takiego widoku nie zapomni żadna kobieta. Jest to odkrycie dla żony najbardziej poniżające. Przy prowadzić do domu tę drugą i uprawiać z nią miłość w małżeńskiej sypialni jest przewinieniem największym. Pewien mężczyzna opowiadał, że zawsze po wizycie kochanki prasował, a w razie potrzeby także prał, bieliznę pościelową. Tak więc odświeżone łóżko również może być dowodem zdrady, zwłaszcza, gdy przedtem mąż bielizną pościelową się nie zajmował.

Często koleżanki, sąsiadki, znajome czują się w obowiązku poinformować kobietę, gdzie, kiedy i z kim widziały jej męża. Nie zawsze można im wierzyć, ale też nie należy lekceważyć takich informacji.

Bywa, że wszyscy wokół — dzieci, rodzina, przyjaciele — znają nawet detale romansu, prowadzonego przez pana, natomiast pani żyje w kompletnej niewiedzy, święcie przekonana o wierności swego partnera. Często dowiaduje się ostatecznie, w sytuacji, gdy nie już nie można zaradzić i poprawić.

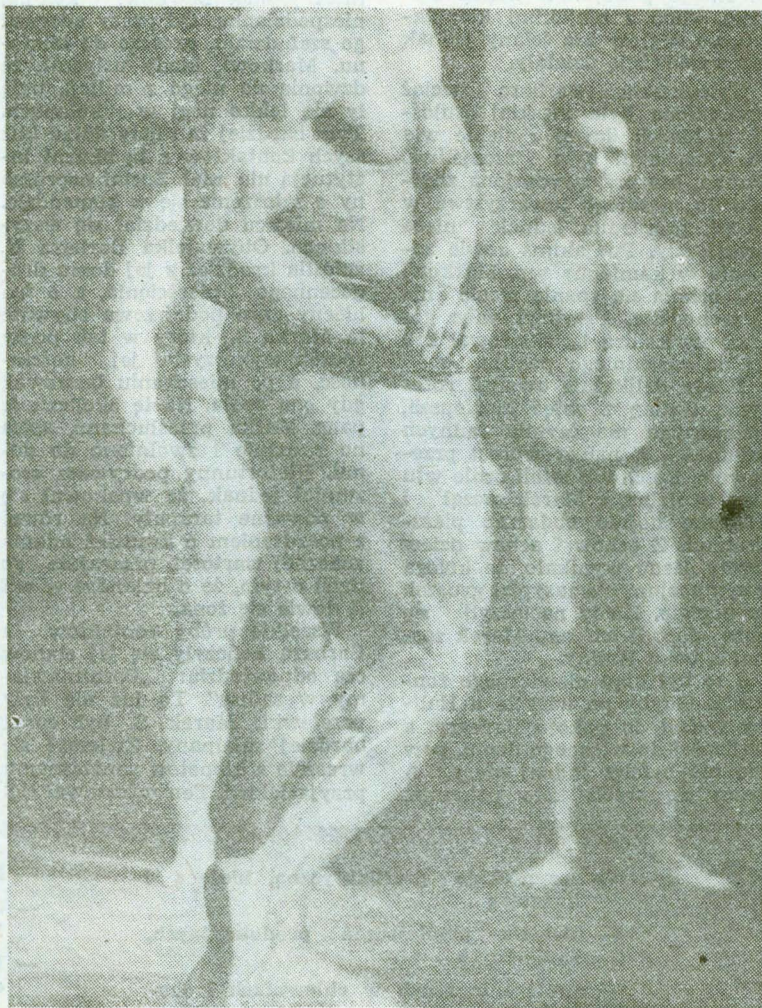
Kobiety wobec kobiet zdradzających mężów, nie zachowują zrozumienia, nie mówią już o solidarności. Kobieta chętnie po tępi drugą kobietę, za zdradę, zwłaszcza, gdy sama nie zdradza.

Całkiem inaczej jest z mężczyznami. Wśród nich panuje solidarność. Mężczyźni rozumieją się i chronią nawzajem. Czasem, na wet nie proszeni, próbują dawać kolegom alibi, oczywiście — fałszywe.

Zdradzają — bo już tacy są, trudno.

Z niemieckiego opracowała
BEATA BARTOSIEWICZ

Dlaczego mężczyźni nie potrafią być wierni?



Fot. BRONISŁAW BUGIEL

musiał odwiedzić kuzynkę, która nagle zachorowała. Tłumaczył się nie patrząc na mnie. Wyczułam, że stoi za tym kobieta.

Pani ta, atrakcyjna i świetnie utrzymana, zastanawia się: co takiego zrobiła, że mąż zainteresował się inną? Przylapuje się na tym, że czeka na jego telefon. Chciałaby porozmawiać szczerze, ale lęka się następstw. Może lepiej przeczekać?

tywnego i szczególnie pomysłowego kochanka. Jeśli chce zrobić z żoną w łóżku to czego nie robił dotychczas, jest to znak, że nauczył się tego będąc z inną kobietą.

Są też mężowie, którzy stają się „nocnymi Markami”, choć zazwyczaj wcześniej chodzili spać. Siedzą do rana czytając, wynajdują sobie czynności domowe.

Marek S. prowadził dość przeciętne życie. Ładna żona, udane 7-letnie dziecko, mieszkanie spółdzielcze, niezła praca na posadzie państwowej. Sprawy rodzinne i osobiste układały mu się normalnie do czasu, gdy po raz pierwszy nie wrócił do domu na noc.

Firma Marka S., wraz z współpracującą instytucją, zorganizowała imprezę, którą eufemistycznie można by nazwać sympozjum naukowo-technicznym. Impreza odbywała się w piątek, przed wolną sobotą. O przebiegu sympozjum niewiele można powiedzieć — ot, trochę mądrych rzeczy, trochę wodolejstwa, w sumie raczej nudno. Za to towarzystwo, które w imprezie uczestniczyło, było bardziej interesujące. Po zakończeniu sympozjum liczna grupa uczestników, w składzie żeńskim, udała się do pobliskiej kawiarni na dalszą dyskusję, ale już na płaszczyźnie prywatnej. Po lało się trochę koniaku i brandy, toteż gdy kawiarnię zamykano, padł pomysł, by rozmowy kontynuować w restauracji z dan cingiem. Kilka osób poszło do domu, a najwytrwalsi udali się do nowego lokalu.

Na dancingu towarzystwo naukowo-techniczne, coraz bardziej rozochoczone alkoholem, bawiło się wspaniale. Czas miał jednak szybko i kiedy orkiestra ostatni raz zagrała „Córke rybaka”, trzeba było zbierać się do wyjścia. Aliści grupce, która poznała się na sympozjum, wcale do domu spieszo nie było. Wówczas Barbara N. rzuciła nową myśl: „Mam wolną chatę, kupmy więc coś do picia i chodźmy do mnie!” Propozycji nie trzeba było powtarzać. Z odpowiednim zaopatrzeniem rozbawione grono dotarło na miejsce. „Chata” Barbary N. okazała się być dużą, przestronną willą w dzielnicy domków jednorodzinnych. Barbara, dobiegająca trzydziestki panna, mieszkała w niej z mamą, która właśnie wyjechała do ciotki. Ojciec zmarł przed kilku laty. Wesole towarzystwo miało więc do dyspozycji cały dom, w którym czekał tylko potłuty pudelek.

Zabawa trwała w najlepszym przy muzyce i smacznych przekąskach, serwowanych przez żenską część ekipy. Wzniesiono też sporo toastów. Kiedy zbliżał się świt, goście po kolei zaczęli się ulatniać do domów. W końcu w willi została gospodyni oraz 22-letnia Halina K. i wspomniany na początku Marek S. Co ciekawe, cała trójka wcześniej się nie znała, a złączyło ją owe sympozjum i wspólne balowanie. Ani Halinie, ani Markowi wcale się nie spieszyło, a i Barbara nie miała nic przeciw temu, by pozostali.

Posłuchali jeszcze trochę płyt Wysockiego i Cohena, po czym Barbara pościeliła w pokojach łóżka i poszła przygotować kąpiel.

Panna Basia pluskała się w łazience, a Marek mile gawędził z Haliną. Po jakimś czasie gospodyni zjawiła się w pokoju cała pachnąca pynem do kąpeli marki „Grun Apfel”, a do łazienki poszła Halina. I wówczas spotkała Marka niespodzianka. Barbara poprosiła gościa do swojej sypialni i... bez ceregieli zdjęła z siebie płaszcz kąpielowy. Kiedy Marek zobaczył ładną w końcu dziewczynę tak, jak ją Pan Bóg stworzył, sprawy potoczyły się szybko. Gdy z kolei wykąpana Halina wyszła z łazienki, swych to-

warzyszy nocnych zabaw zastała baraszkujących w najlepszym w łóżku. Coś ją ścisnęło w sercu, jakiś żal, ale poszła spać do sąsiedniego pokoju. W końcu zasnęła, choć z niejakimi kłopotami, bo odgłosy zza ściany jednak na wyobraźnię działały.

Tymczasem Barbara wciąż spragniona była męskiej czułości, a Marek dawał z siebie wiele. Gospodyni była szczęśliwa. Panna, nie przyzwyczajona zbytnio do męskiego towarzystwa w łóżku, przeceniła jednak nieco swoje siły. Po jakimś czasie zapadła w kamienny sen. Markowi zaś ochota na spanie wcale nie przychodziła. Przykrył więc gospodynię kołdrą i... skierował kroki do sąsiedniego pokoju.

Kiedy delikatnie uwodził roześmianą Halinę z objęciem Morfeusza, dziewczyna nie czuła żadnych trudności, a nawet wprost przeciwnie. Po chwili leżeli czule wtuleni w siebie, a Marek zaczął i Halinę hojnie obdarzać pieśczętami. Z ochów i achów dziewczyna jasno wynikało, że kolega z sympozjum nie zasypiał gruszek w popiele. Kiedy nacieszyli się sobą, dopadł ich sen. Marek zasnął u boku Haliny.

I to był błąd niewiernego żonkosia. Gdyby po wizycie u Haliny wrócił do pokoju Barbary, a najlepiej do własnego domu, pewnie nie byłoby żadnej afery. A szum się zrobił koło południa.

Panna Basia obudziła się i zaniepokoiła, gdzie też może być mąż czyżna, przy którym taka rozanie lona zasnęła. Weszła do sąsiedniego pokoju i zamurowała ją. Sytuacja zrobiła się cokolwiek niezręczna.

Marek, krzątając się po mieszkaniu w poszukiwaniu poszczególnych części odzieży, próbował się tłumaczyć, ale czynił to dość nieudolnie, a gospodyni wpadała w coraz większą złość. Zamiast wspólnego obiadku, co cała trójka sobie obiecywała, skończyło się na tym, że Halina i Marek jak niepyszni opuścili willę, pozostawiając w niej Barbarę. Nocny uwodziciel odprowadził Halinę na najbliższy przystanek autobusu, a sam ruszył do domu. Niesmak jakiś pozostał, zwłaszcza gdy powrócił na łono rodziny, i nie bardzo mógł wytłumaczyć się żonie z całonocnej nieobec-

TRÓJKĄT TOWARZYSKI

ności w domu. Pocięsział się, że po przygodzie pozostanie tylko wspomnienie.

Początek nowego tygodnia przyniósł jednak Markowi kolejną niespodziankę. Od pracy oderwał go szef działu, prosząc do telefonu. Markowi, kiedy usłyszał, że dzwonią do niego z milicji, ugięły się lekko nogi w kolanach. Tym bardziej że nigdy dotąd bliższych kontaktów z tą akurat instytucją nie miał. Został poproszony o zgłoszenie się w komendzie. Na miejscu dowiedział się wszystkiego. Obywatelka Barbara N. zgłosiła kradzież z jej domu drogiego pierścienia, a o ten niecny czyn podejrzewa obywatela Marka S., który w tak podły sposób wykorzystał jej gościnność, a po mieszkaniu buszował, gdy ona spała. Na tę okoliczność pana Marka przesłuchano, spisał zeznanie i zwolniono do domu. Niefortunny podrywacz rozumiał jednak, że wpakował się w poważne tarapaty. Na równi z posądzeniem o kradzież mienia znacznej wartości, przerażała go myśl o tym, że o balandze w willi dowie się żona.

Wszelkie próby kontaktów z Barbarą kończyły się jej stanowczą odpowiedzią: „Porozmawiamy w sądzie”. To już nie były przelewki. Marek S. był coraz bardziej załamany. Zwierzył się wreszcie z kłopotów serdecznemu przyjacielowi. Ten zafrasował się:

„No, niezły gips”. „Tyle to ja też wiem, ale jak z tego wyjść” — odparł Marek. „Daj mi trochę czasu, może coś wymyślę”.

Dni mijały, termin wizyty w sądzie zbliżał się nieuchronnie i kiedy Marek S. tracił już nadzieję, zjawił się przyjaciel. „Chyba coś mam. W sobotę wieczorem idziemy na imprezę. To może się przeciągnąć do rana, więc załatw sobie wszystko w domu i polegaj na mnie”. Marek S. zdrętwiał na taką propozycję, bo póki co na nocne eskapady nie miał już ochoty. Ale nie miał też innego wyjścia.

W sobotę okazało się, że przyjaciel zabrał Marka S. na huczną imprezę, w której uczestniczyła też... Barbara N. Wprowadził kolegę do towarzystwa dopiero wtedy, gdy bractwo bawiło się już w najlepsze i sporo go rzałki zdążyło się już polać. „Masz być łagodny, miły i uwodzić Barbarę, jakbyś spotkał ją po raz pierwszy w życiu” — poinstruował Marka przyjaciel.

Któż zgłębi tajemnice kobiecej duszy... Zrazu nieufnie, po kolejnych toastach panna Basia coraz łaskawym okiem spoglądała na Marka. Potem były dalsze kieliszki, tańce i... noc we dwoje. Nad ranem Barbara, szlochając i wtulając się w Marka, wyznała, że z pierścieniem to była zemsta. Babska duma nie pozwalała jej znieść, że poszedł z inną do łóżka zaraz potem, jak byli razem, i to w jej własnym domu, a do tego z młodszą od niej. Teraz wszystkiego żałuje, zrobiła mu wielkie świństwo, ale wszystko naprawi.

Do rozprawy rzeczywiście nie doszło. Barbara N. poprosiła o wycofanie sprawy z sądu i milicji, bo drogiego pierścień odnalazł się. Jak oświadczyła, leżał w domu, za szafką. Wyraziła ubolewanie, że naraziła organa ścigania i wymiaru sprawiedliwości na niepotrzebny trud, a obywatela Marka S. na straty moralne, które gotowa jest mu w pełni zrekomensować.

Czy i jak Barbara N. straty te Markowi S. rekompensowała, tego już nie wiemy, choć jej matka ka ponoć coraz częściej i na dłużej zaczęła wyjeżdżać do ciotki. W dokumentach zachował się natomiast zapis, z którego wynika, że na pytanie, w jaki sposób tak cenny pierścień mógł zawieruszyć się za meblarni, Barbara N. odpowiedziała: „Z pewnością zaciągnął go tam mój niesforny pu del...”

KRZYSZTOF MAZUR

DDD

Zakład
Dezynsekcji,
Dezynsekcji
i Deratyzacji

POLECA:

- dezynfekcję profilaktyczną, bieżącą i końcową
- bielenie pomieszczeń produkcyjnych, sanitarnych
- zwalczanie much w chlewniach i oborach
- zwalczanie karaluchów, prusaków, mrówek faraona, much, komarów, pcheł, pluskiew, świerszczy itp. w pomieszczeniach hotelowych, mieszkalnych, żłobkach, szpitalach, barach, restauracjach, stołówkach, kuchniach, sklepach i magazynach żywnościowych
- zwalczanie szkodników magazynowych owadów i gryzoni
- tępienie szczerów, myszy, kretów i nornic

- Konkurencyjne ceny
- Gwarantowana skuteczność zabiegów
- Wybór importowanych środków owadobójczych.
- Możliwość zawarcia stałej umowy na cykliczne wykonywanie zabiegów
- Możliwość wykonania zabiegów w terminach wygodnych dla zleceńdawcy

JÓZEF BRODOWSKI
ul. Powstańców Warszawy 27/7
65-001 Zielona Góra
tel. 647-53

027253-G

2.1 - WTOREK

PROGRAM I

- 8.35, 10.40 „Domator”
8.50 „Domowe przedszkole”
9.25 „Rzymianka” (2) — s. prod. wł.
11.10 Hist., kl. I lic. — Początki państwa polskiego
12.00 Spotkania z lit., kl. IV — Baśnie
13.30, 14.00 TTR - Fiz. i biol. (III)
15.00 Powt. przed maturą — Literat.
15.40 „Kim być?” — dec. 15-latków
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 „Tik — Tak”
16.50 Kino Tik — Taka: „Cudowna podróż” — austr. s. anim.
17.30 „Spojrzenia”
17.55 „Klinika zdrowego człowieka”
18.15 „W stronę rynku”
18.45 „10 minut”
19.00 Dobranoc „Przygody kotka Damiana”
19.10 „Od A do Z” — pr. public.
20.05 „Rzymianka” (2) — s. prod. wł.
21.25 Sport
21.35 „Mariszka Band” — jug. f. dok.
22.05 „Zawsze po 21-szej”
22.45 Dt — Echa dnia
23.00 Język rosyjski (11)

PROGRAM II

- 16.55 Język angielski (41)
17.30 „Klub ludzi z przeszłością”
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna młodzieży
18.50 Publicystyka
19.30 Magazyn narciarski
20.00 „Non stop kolor”
21.00 „W kregu sztuki” — „Dzieje fotografii” (12) — ang. s. dok.
21.45 Studio im. Karola Irzykowskiego „Dom wariatów” — f. prod. pol., reż. Marek Koterski
23.20 Komentarz dnia

3.1 - ŚRODA

PROGRAM I

- 8.35, 10.25 „Domator”
8.50 „Domowe przedszkole”
9.25 Film fabularny
11.10 Najnowsze dzieje Polski
12.00 Spotkanie z lit., kl. IV — Maria Konopnicka
12.50 Fizyka — Perpetuum mobile
13.30, 14.00 TTR — Chem. i hist. (I)
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 „Latający Holender” — „Klub Zdobywców Oceanów”
16.50 Dla dzieci: Trąba”
17.30 „Sensacje XX wieku”
17.55 TV informator wydawniczy
18.15 „Dawniej niż wczoraj”
18.45 „10 minut”
19.00 Dobranoc „Wyprawa Baltazara Gabki”
19.10 Oferty „Pegaza”
20.05 Zwierciadło czasu „Blazen” — film prod. ZSRR
21.45 Sport
21.55 „Plus — minus” — pr. public.
22.25 „Mikrofon” — film dok.
22.45 Dt — Echa dnia
23.00 Język angielski (11)

PROGRAM II

- 16.55 Język francuski (9)
17.30 Program publicystyki kultur.
18.00 Program lokalny
18.30 Rozrywka
19.00 „Hotel Zacisze” (11-ost.) — s. komediowy prod. ang.
19.30 „Kuba” — program dok.
20.00 „Wirtuozi wiolinistyki” — Magdalena Rezler
21.00 „Ze wszystkich stron” — „Przy granicy z Afganistanem”
21.45 „Przyjaciele” (1) — „Krew” — f. prod. pol., reż. A. Kostenko
23.10 „Telewizja nocą”
23.55 Komentarz dnia

4.1 - CZWARTEK

PROGRAM I

- 8.35, 10.15 „Domator”
8.50 „Domowe przedszkole”
9.25 „Policjanci z Miami” — serial kryminalny prod. USA
11.10 Polska w latach międzywojennych — Maj 1926 r.

- 11.40, 16.10 MEN — informuje
12.00 Spotkania z lit., kl. VII — A. Mickiewicz
12.50 Spotkania z lit., kl. I lic. — W cieniu czarnoolekiej lipy
13.30, 14.00 TTR — Mech. rol. i lit., — sem III
15.00 W świecie sztuki, kl. I - IV lic.
16.20 Program dnia — Telegazeta
17.30 Studio Sport — Turniej czterech skoczni

tydzień w TV

2-8 stycznia 1990 r.

Codziennie: 17.15 — Teleexpress, 9.15, 19.30 Wiadomości (pr. I); 21.30 — Panorama dnia (pr. II).

- 18.25 Magazyn katolicki
18.45 „10 minut”
19.00 Dobranoc „Dwa kopy i kurek z ratuszowej wieży”
19.10 „Interpelacje” (1)
20.05 „Policjanci z Miami” — „Wielki McCarthy” — s. krym. USA
20.55 „Interpelacje” (2)
21.35 Sport
21.45 „Pegaz”
22.30 Dt — Echa dnia
22.45 Język angielski (41)

PROGRAM II

- 16.50 Język rosyjski (11)
17.25 Skarby kultury polskiej — film dokumentalny
18.00 Program lokalny
18.30 Program publicystyczny
19.00 Magazyn „102”
19.30 Zielone kino: „Opowieść o kropli wody” — film przyrodniczy
20.00 Wielki sport — Turniej czterech skoczni — Innsbruck '90
21.00 „Ekspres reporterów”
21.45 „Pieskie popołudnie” — f. fab.
23.45 Komentarz dnia

5.1 - PIĄTEK

PROGRAM I

- 8.35, 10.30 „Domator”
8.50 „Domowe przedszkole”
9.25 „Carscy kadeci” (1) — serial prod. ZSRR
11.10 Drogi do niepodległej
12.50 Spotkania z lit., kl. III lic. — Stanisław Wyspiański
13.30, 14.00 TTR — Fiz. i mech. rol., sem. I
15.10 „W szkole i w domu”
15.30 NURT - Edukacja pozaszkolna
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 „Rabbit” — teleturniej
16.50 „Okienko Pankracego”
17.30 „Raport”
17.55 „Druga strona obrazu” — film dokumentalny
18.25 „Rzeczpospolita samorządna”
18.45 Weekend w „Jedynce”
19.00 Dobranoc „Węgierskie bajeczki”
19.10 „Teraz” — tyg. gospodarczy
20.05 Akademia filmowa „Powiększenie” — film prod. ang.-wł. z Vanessą Redgrave w roli gł.
22.00 Sport
22.10 „Kontrapunkt”
22.40, 24.00 Spór o jutro — Otwarte Studio
23.40 Dt — Echa dnia

PROGRAM II

- 17.30 „Wrockowa lista przebojów”
18.00 Program lokalny
18.30 „O czym się mówi” — pr. publ.
18.50 Program rozrywkowy
19.30 „Dookoła świata”
20.00 Magazyn „Piątek”
22.00 „Piosenka niekochanego” — film fab. prod. francuskiej
23.55 Komentarz dnia

6.1 - SOBOTA

PROGRAM I

- 7.00, 7.30 TTR - Mat. i hist. (III)
8.00 „Tydzień na działce”
8.20 „Na zdrowie” — pr. rek.
9.00 „Drops” oraz film prod. jug. z serii „Jelonek” (9)
10.30 Dt — Wiadomości
10.40 „Koncert na miliard pałek” — film dokumentalny

- 11.10 „Azymut” — mag. wojskowy
11.40 „Z Polski rodem” — mag.
12.10 Telewizyjny koncert życzeń
12.40 „Tryptyk z ziemi obiecanej” (1)

- 13.10 IV Teatr Procy: Romain Rolland „Colas Breugnon”, reż. Tadeusz Junak
14.40 „Być reporterem” — Dymitr Bebabow — film dok.

- 15.05 Filmy o miłości: „Trzeba za bić tę miłość” — f. prod. pol., — reż. Janusz Morgenstern
16.40 „Rewia nadzwyczajna”
17.30 Studio Sport
18.30 „Butik”
19.00 Dobranoc „Przygody misia Colargola”
19.10 „Z kamerą wśród zwierząt”
20.05 „Siedmiu wspaniałych” — western prod. USA
22.10 Sport
22.30 „Tydzień w polityce”
22.40 „Koncert spełnionych życzeń”
23.40 Telegazeta
23.45 Kino sensacji „Tajemnicza sprawa” — film prod. ang.

PROGRAM II

- 14.15 „Kavango — klejnot Kalaharii” — ang. film przyrodniczy
14.45 „Ordy” — „Karol Darwin” — serial anim. prod. jap.
15.10 „Komputer komentuje”
15.15 „Meandry architektury”
15.35 „Papierowa ceramika”
15.40 „Wieloryby i delfiny”
15.45 „Symbolizm w malarstwie polskim”
16.00 „Barlery”
16.25 Studio Sport
17.00 „Musicale” (2)
18.00 Program lokalny
18.30 „Wielka gra”
19.30 Relacja z I Międzynarodowego Przeglądu Cygańskich Ze społów Pieśni i Tańca
20.00 Filharmonia „Dwójki”
20.50 Ukraina bez wytycznych
21.15 „Muzyka i polityka”
21.45 „Continental Singers”
22.10 „Znowu w Brideshead” (1) — serial prod. ang.
23.00 Jacek Stwora „Co jest za tym murem?”
23.20 Komentarz dnia

7.1 - NIEDZIELA

PROGRAM I

- 7.00 „Witamy o siódmej”
7.50 „Notowania”
8.15 „Tydzień”
9.00 „Telerek” oraz „60 urodziny Myszkki Miki” (1) — film animowany prod. USA
10.30 Dt — Wiadomości
10.35 „Złoto” (4) — s. dok. prod. wł.
11.15 „Kraj za miastem”
11.40, 14.45, 15.25, 17.30, 18.50 „Przed rokiem, po roku, za rok”

- 11.45 Telewizyjny koncert życzeń
12.30 Teatr Młodego Widza — Ted Hughes — „Przypowieść głupca” reż. J. Bursztynowicz
13.25 Sportowa niedziela
14.50 „Morze” — magazyn
15.50 „Antena”
15.35 „Panna dziedziczka” (34) — serial prod. brazylijskiej
17.35 TV Teatr Rozmaitości — Terence Feely — „Jak w złym śnie” reż. Paweł Trzaska
19.00 Wieczorynka „Siostrzeńcy Kazora Donalda”
20.05 „Ring” — film prod. pol. — reż. Andrzej Barszczyński
21.05 „7 dni — Świat”
21.35 Sport
22.15 Sadie Nine - pr. rozrywkowy
22.45 „Dekalog, pięć” — film TP

PROGRAM II

- 9.20 „Przegląd tygodnia” (dla niesłyszących)
9.55 Film dla niesłyszących: „Ring” — film prod. polskiej
10.50 „Magazyn lotniczy”
11.20 Lokalny koncert życzeń
11.45 „Jutro poniedziałek”
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 „100 pytań do...”
13.10 Maciej Niesiołkowski „Z batutą i z humorem”
13.25 Kino familijne: „Bajarz” (2) — serial prod. ang.
13.50 Auto - Moto - Fan - Klub
14.20 „Polacy” — film dok.
15.00 Podróże w czasie i przestrzeni: „Wędrowki ludów nad Pacyfikiem” — serial dok. prod. australijskiej
15.55 „Być tutaj” — Gawęda prof. Wiktora Zina
16.10 Biografie: „James Dean — buntownik” — f. dok. pr. wł.
17.10 Studio Sport
17.30 „Bliżej świata” — TV - sat.
19.00 „Wywiady Ireny Dziedzic”
19.30 Galeria „Dwójki” — Andrzej Podkański
20.00 Studio Sport
21.00 „Hity z orbity”
21.45 „Wojna i pamięć” (19) s. USA
22.40 Komentarz dnia

8.1 - PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

- 13.30, 14.30 TTR — Chem. i biol. (1)
14.30 TKR — Rolnik a środowisko
15.00 Powt. przed maturą — hist.
15.30 NURT — Sens życia
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 „Luz” — pr. nastolatków
17.30 „Gorące linie”
17.55 Wędrowki dalekie i bliskie „Życie codzienne w epoce kamiennej” — f. dok. prod. belg.
18.30 Program publicystyczny
18.45 „10 minut”
19.00 Dobranoc „Kot Leopold”
19.10 „W Sejmie i Senacie”
20.05 Teatr Telewizyjny — Tadeusz Różewicz „Spaghetti i miecz” — reż. Józef Czerniecki
21.50 Sport
22.00 „Kram z pamiętkami” — Kul tura stanu wojennego
22.45 Dt — Echa dnia
23.00 Język francuski (10)

PROGRAM II

- 16.55 Język angielski (12)
17.30 Antena „Dwójki”
17.45 „Ojczyzna — polszczyzna”
18.00 Program lokalny
18.30 „Zmagania o Polskę” (1) — serial dok. prod. ang.
19.30 „Muzyczne wizyty” — Evelio Tiele (Kuba)
20.00 „Auto - Moto - Fan - Klub”
20.30 „Osądźmy sami”
21.15 „Rozmowy o cierpieniu”
21.50 „Heimat” (1) — s. prod. RFN
22.50 Komentarz dnia

▲ Redakcja nie odpowiada za zmiany dokonane w ostatniej chwili przez TVP.

Tygodnik Społeczno-Kulturalny — Pismo Lubuskiego Towarzystwa Kultury. ADRES REDAKCJI: Zielona Góra pl. Bohaterów Stalingradu 13. I piętro oraz dla korespondencji: 65-958 Zielona Góra skrytka pocztowa 40. Telefony: redaktor naczelny 708-35, z-ca red. naczelnego 39-13 oraz centrala 46-61 do 67 (łączy telefony wewnętrzne) Telex 0432258 REDAGUJE KOLEGIUM: Halina Ańska-Skarbek, Krzysztof Hołyński, Janusz Koniusz (red. naczelnego), Zenon Łukaszewicz (z-ca red. naczelnego), Wiesław Nodzyński, Ryszard Rowiński oraz Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.) Korekta: Beata Bartosiewicz Sekretariat redakcji: Elżbieta Waleńska WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 25 65-042 Zielona Góra skrytka pocztowa 31 Centrala telefoniczna 46-61 do 67 Dyrektor naczelny Zbigniew Pietkiewicz tel 717-95 DRUK: Drukarnia Prasowa ZWP, 65-076 Zielona Góra ul. Reja 5 OGŁOSZENIA przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydaw-

nictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie kraju Ponadto sekretariat redakcji „Nadodrzie” Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada Materiałów tekstów oraz zdjęć nie zamówionych redakcja nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótów i zmian tytułów

PRENUMERATA: Informacji o warunkach prenumeraty udzielają Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe. Zlecenie wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu i Wydawnictw, 00-950 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto P.B.K. XIII Oddział Warszawa 370044-1195-139-11. Prenumerata jest droższa od prenumeraty krajowej o 100 procent Zam. 1236

